PRZEKŁADY

I

RYMY WŁASNE.

PRZEKŁADY

I

RYMY WŁASNE

KAROLA KRUZERA.

TOM SZÓSTY.

KRAKÓW.
Z drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.
1885.

Nakładem Autora.

Oh! memory with more than Egypt's art,
Enbalming all the sorrows of the heart,
Sits at the altar which she raised to woe,
And feeds the source whence tears eternal flow!

Curran...

*
* *

O! pamięć dzielniej niźli Egipcjanie,
Zabalsamuje każde serca łkanie,
I wznosząc smutkom świątynię, w niej siada
Podsycać źródło, skąd wieczna zła spada.

RYMY WŁASNE.

ZAPROSINY NA GODY.

O Pani moja! jeślibyś wiedziała,
Jak gorzkie życie Twego przyjaciela,
Tobyś go pewnie zapraszać nie śmiała,
Na uroczystość Twojego wesela.

I cóżby robił on na tym bankiecie
Ducha Twojego — gdzieby wszystko drgało
Szczęściem — istoty najdroższej dlań w świecie,
Szczęściem — dzielonem przez nią duszą całą?

Coby tam robił, jakżeby się wcielił,
W ten świat słoneczny, tak wypogodzony,
Jeślib, jak piorun, na twarz mu wystrzelił
Smutek — w otchłaniach serca uwięziony?

I nagłym żalem powlekając oko,
Które odbiłob wszystko jak zwierciadło,

Zdradzając prawdę tajoną głęboko,
Przetworzył gościa w grobowe widziadło.

A Ty na widmo to patrząc strętwiana,
Widząc oblicze to tak martwe, blade,
Pocóżeś przybył? — rzekłabyś wzruszona —
Na tak okropną dla ciebie biesiadę?

A więc go nie proś na wesele Twoje,
Bo nie dla niego wesela uśmiechy.
Różnemi drogi pójdziecie oboje,
On, drogą cierni, — Ty, drogą pociechy.

Ale się stanie wedle myśli Bożej.
On słysząc o tym godów Twych obrzędzie,
Całem Cię sercem — niech Cię to nie trwoży,
Zdala, jak zawsze, błogosławić będzie.

26/6 1880.

DO MOICH PRZYJACIÓŁECZEK.

(Wiersz A. E. Odyńca.)

Jak was nie kochać? kiedy wy takie!
Wy tylko jedne zawsze jednakie,
  Jakeście były przed laty:
Gdy i mnie wiosny świtała chwila,
I gdybym bujając skrzydłem motyla,
  Witał was wszystkie — jak kwiaty.

Lecz wtedy przy mnie, jak rój motyli,
I towarzysze podobniż byli,
  Młodzi, serdeczni, weseli:
Co tylko w pieśniach, tylko w piękności,
Cel swych uwielbień, przedmiot miłości,
  I urok życia widzieli.

O! i nie było to czcze widzenie,
Gdy czas, świat, życie i doświadczenie,
  Prawdę nam jego stwierdziły.

Czy najburzliwiej, czy najboleśniej,
Los kim z nas miotał — z was on, i z pieśni,
Czerpał pociechę i siły.

Kochając, znosił co Bóg przeznaczał,
Wierząc, nie szemrał, ani rozpaczał,
Nad twardszej doli koleją.
Pieśń go krzepiła w trudach i znoju,
A z tych co dzisiaj spią już w pokoju,
Każdy z nich umarł z nadzieją.

Ale kto został, a płacząc po nich,
Chciałby dziś szukać podobnych do nich,
By przy nich żal swój uśmierzył;
Biada mu, biada! bo wnet obaczy,
Jak wkoło niego wszystko inaczej,
Jak on snać wiek swój już przeżył.

Młodzi się śmieją z uniesień serca,
Wiarę przesądem zowie bluźnierca,
Głos pieśni stłumił brzęk złota.
Kto po staremu czuje, a przecie
Radby współczucie znaleść na świecie,
Ten dziś w nim istny sierota.

Wy tylko jedne, serca niewieście!
Czémeście były, zawsze jesteście,
  Kwiatami życia ogrodu.
Toć gdy i dla was stygną młodzieńcy,
Ja stary kocham was coraz więcéj,
  Więcéj, niż może za młodu.

1880.

DO MOICH PRZYJACIÓŁECZEK*).

(Parafraza Nr 1 wiersza A. E. Odyńca, pod tém samém godłem.)

Jakże Was nie kląć? kiedy Wy takie!
Odwiecznie jedne, zawsze jednakie,
  Jako i Wasze zwyczaje.
Cudne, okrutne, wdziękiem jarzmiące,
I z ujarzmionych zimno szydzące,
  Pokąd im w piersiach tchu staje?

Gdy tak lubicie, aby krążyli
Przy was szaleńce, jak rój motyli,
  Młodzi, czy starzy — i wiecznie

---

*) Kochany mój *P. Edward Odyniec*, odwiedzając mię chorego w Krakowie, przyniósł mi wiersz: *„Do moich Przyjaciółeczek“*, napisany do nich, na prośbę młodych panienek. Trzeciego dnia, gdy znowu zaszedł do mnie, dałem mu parafrazę mą dytyrambu tego pochwalnego, którą przeczytawszy, *„a niechże cię Bóg!...“* zawołał z dobrotliwym, zwykłym mu uśmiechem, chowając ją do pugilaresu.

Snuli Wam pieśni, zachwytem pijani,
I Was, z nich drwiących, jak i z ich dani,
Błogosławili serdecznie?

O! nie! to nie jest czcze przywidzenie,
Gdy czas, świat, życie i doświadczenie
Gorzko te słowa stwierdzają.
Czy najburzliwiej, czy najboleśniej,
Los kim z nas miota,— na jawie, we śnie,
Zawsze się one sprawdzają.

Kochając, znosim co Bóg przeznacza,
A choć niejeden z nas i rozpacza,
Nad taką doli koleją;
Pieśń go nie krzepi w znoju tym krwawym,
Przyjmą ją Panie z wyrazem łzawym,
Ale pokątnie ośmieją.

A jednak, jednak! płacząc wciąż po nich,
Tęsknim za niemi, wzdychamy do nich,
I któżby temu uwierzył!
Że choć tak ciężko dla nich przebolał,
Każdyb z nas jeszcze bole te wołał,
Byleby z niemi je przeżył.

Młodzi się śmieją z uniesień ducha,
Starzec porywów jego nie słucha,
Wszystkim im milszy brzęk złota.

Więc gdy kto czuje silnie, i przecie
Radby współczucie znaleść na świecie,
  Ach! jakiż na nim sierota!

Ale wy zawsze serca niewieście,
Czémeście były, i dziś jesteście,
  Ludzkości strasznym tak biczem,
Że przy was bledną, choćby jak wielkie,
Wszelkie nieszczęścia i bole wszelkie,
  I samo Piekło jest niczém.

1/7 1880. Nr 25.

SFINX.

Dziwna to była dusza! — czasem wrząca,
Czasem anielsko smętna, wzruszająca,
A czasem znowu nakształt bryły lodu,
Ziębiąca w okrąg atmosferą chłodu
Tak przejmującą na wskróś, bez litości,
Że zamrażała nią do szpiku kości.
A gdy już w widzu wszystkie życia ciepło
Owiane zimnem tém, stygnąc, zakrzepło,
Znowu mu nagle w serce już stężałe,
Na jedno słówko jéj wnet zmartwychwstałe,
Słówko, którém jak smucić, lub pocieszać,
Tak i zabijać mogła, albo wskrzeszać,
Lała balsamy, aż z dawniejszą siłą
Przed letargicznym pulsem zatętniło.
Bo ona sobie nigdy, wiém to, czuję,
Choć po odmiennych tak sferach kołuje,
I świat przedstawia się jéj tak inaczéj,
Nie przebaczyłaby cudzéj rozpaczy.

Więc gdy drażliwa tak na bole innych,
Czemuż niekiedy w zapędach niewinnych,
Jak kameleon mieniąc się co chwila,
Jakiemiś barwy kolibra, motyla,
Wzrok olśniewała tak błogiemi czary,
Pojąc i serca takiemi nektary,
Iż piły, piły, chociaż dobrze czuły,
Że tą słodyczą śmiertelnie się truły?

Ale, powtarzam, niech ją nikt nie wini,
Bo nie wiedziała co słodycz ta czyni.
Jak nie wie rzeka, czemu, gdy nabrzmiewa,
Wzdętemi nurty za brzegi wylewa,
I tam, gdzie wszystko drgało życiem całem,
Zatapia, nie chcąc, wodnistym kryształem.
Jak nie wie rumak, gdy go szał opęta,
Że może jeźdźcom, nim się opamięta,
Strasznemi rzuty, gdy zacznie się miotać,
Wszystkie kosteczki o głaz pogruchotać.
Tak życie i w tem naiwnem dziecięciu,
Któreby mogła rozlać na dziesięciu,
Wzbierając nagle — ze zwykłej kolei,
Wtrącała w świat ją extaz, czy nadziei,
Że w tym zachwycie nie myślała o tem,
Czem jest, czem była, i czem będzie potem.

Więc niech przebaczy jéj każdy z pośpiechem,
Bo nieświadomość czego nie jest grzechem.
Niech jéj przebaczy — jeśli mu się zdało,
Że się to przez nią kiedybądź cierpiało.
Zapomnieć tylko cierpień; próżna rada!
Boleść tak każdy serca nerw przejada,
Że draśnij jeden, a wnet wszystkie chórem,
Akordem żalu odjękną mu wtórém,
Ale któż mógłby jéj tu co zarzucać?
Chciałeś weselić się czémś, lub zasmucać.
To jak twym smutkiem, tak i twą pociechą,
Zawibrowałoże w niéj, choć raz, echo?
Więc w kołowrocie tym uczuć wezbranych,
Nie mogąc dojrzeć wrażeń wywołanych,
I ich odcienia — dla niéj — tak subtelne,
Jak hieroglify, były nieczytelne.

Raz tylko jeden, jeden raz, nie więcéj,
Coś dopatrzyła, uczuła goręcéj,
Coś się w jéj oczach, mgląc je, tak dwoiło,
Aż trwożnym wstrętem serce jéj zabiło,
Bo tych spostrzeżeń jakaś tajemnica,
Wybiegła nagle jawnie na jéj lica,
I z niespodzianém dla wszystkich zdumieniem,
Obwarowała ją takiém milczeniem

Zakamieniałém, za jednym zamachem,
Że jeden z widzów odgadł wnet z przestrachem,
W têm marmurowém zaklęciu milczenia,
Dalszy ciąg tylko swego przeznaczenia,
Które, jak zawsze, — wszak to jego godło!
I teraz Drogą-Krzyża go powiodło.
I dlań, w istocie, wszystko się skończyło,
Ucięte nagle, jakby nic nie było,
Tak to milczenie śmierci, przeszłość całą,
Rozbitą w drzazgi, gruzem zasypało,
Na któréj grobie zapadłym już — z wiosną,
Nigdy nadziei kwiaty nie wyrosną,
I tylko nad nim, jak widm blade cienie,
Smutniéjsze od nich, błąka się wspomnienie.

3/8 1880. *Wiedeń.*

RAKOWICE.

Tu, to tam, pytając w mieście,
Dowiedziałem się nareszcie,
Że Krakowskie smętarzysko,
Rakowice ma nazwisko.
Więc, gdym pędzon, jakby zmorą,
Jakiéjś myśli méj potworą,
Któréj język nie wypowié,
Żadném słowem, w żadnéj mowie,
Wałęsał się krocząc błotem;
Nie wiedziałem wcale o tém,
Zabłąkan w ciemną ulicę,
Żem szedł wprost na *Rakowice*.
I gdybym nie wrócił wcześnie,
To pewnoby jednocześnie,
Błysnął świt paniom w Krynicy,
Mnie — na grobach *Rakowicy*.

Pomnę dobrze tę noc całą,
I wszystko co się w niéj działo.
O! bo czarna tak godzina,
Nigdy się nie zapomina;
Kiedy się raz w pamięć wwierci,
To nie zbędziesz jéj do śmierci.

Było blizko już północy,
Gdym wędrując tak po nocy,
Jak włóczęgów już niewielu,
Trafił wreszcie do hotelu.
Jan zdumiony mym widokiem,
Patrzał na mnie dziwném okiem.

„Może Pan co się napije?“
Zawołał — „dwunasta bije;
Dziś Pan nie jadł nic, nic nie pił,
Toby trochę się pokrzepił,
A herbata już gotowa“.

Nie odrzekłem mu i słowa,
Tylko, serdeczniéj niż słowy,
Wymowném skinieniem głowy,
Wdzięczniem jemu podziękował,
Że się mną tak wciąż zajmował.

Odszedł — jam w me obie dłonie,
Rozpalone ujął skronie,
I oparłszy o kolana
Łokcie, marzyłem do rana.
I choć mi ból bez litości,
Targał nerwy, łamał kości,
Nigdy mi się ani śniło,
By się kiedy tak marzyło.
A marzyło niezabawnie.
Bo widziałem jasno, jawnie,
Jak me życie, co tak długo,
Jedną wciąż płynęło strugą,
Ten sam nurt, — choć serce rwie się,
Na *Rakowice* zaniesie.

Ale skądże mi się wzięło,
Opowiadać co minęło?
Wszakże tylko Panią chciałem
Przekonać, iż słuszność miałem
Utrzymując, że w Krakowie
Smętarz jakoś tam się zowie,
Gdy mi Pani zaprzeczała
Wręcz, mówiąc żeby wiedziała
Najpewniej, jak się nazywa
Miasta dzielnica szczęśliwa,

Na którą zimą i w lecie,
Umierając co dnia przecie,
Choć oni o to nie proszą,
Nieboszczyków precz wynoszą,

That is the Question?

. Prócz szumu wody, co gdzieś w dali tryska,
Żaden szmer świętéj ciszy nie znieważa.
Najspokojniéjsze na ziemi siedliska,
Dla was, o ludzie! w mogile smętarza.
(Stefan Czarniecki).
Poemat *Fryderyka de Krauze.*

I.

„Najspokojniéjsze na ziemi siedliska,
Dla was, o ludzie! w mogile smętarza.“
Każdy, gdy jego ciężki ból uciska,
Słowa te sercem znękaném powtarza.

A jednak! jednak! choć go myśl ta cieszy,
I tajemnicy grobu się nie boi,
Czemuż z cierpiących chętnie nikt nie spieszy,
Do téj najcichszéj, zaprawdę, ostoi?

Czemuż to życie, w które wciąż takiémi
Kolcy, gnębiący smutek, bodąc, wstrzęga,

Jakimś łańcuchem przykute do ziemi,
Tak zaciśniętym węzłem z nią się sprzęga?

Czyż owe rany, co lada wspomnienie
O nich, rozjątrza, i jak robak toczy,
Wygoi kiedy czas — czy zapomnienie,
Że żadna więcéj krwią się nie obroczy?

Nigdy! — bo pamięć, ta marzeń Królowa,
Co wszechpotężnie tak swém państwem władnie,
Nie uraniając nic a nic, przechowa
W skarbcu swym wszystko, co raz weń zapadnie.

Mimo to wszakże, choć oko zroszone
Nieraz łzą gorżką, choć cierń serce krwawi,
Czemuż to oko ku Niebu wzniesione,
Gdy żal rozpaczny źrenicę mu łzawi,

Przylega znowu, ledwie z łez otarte,
Do tego płaczu i nędzy padołu,
Jakby to życie ziemskie było warte,
Takich rozłudzeń, takiego mozołu?

Dlaczegoż, nakształt trumny Mahometa,
Co ani wzlecieć ku Niebu nie może,
Ni spaść na ziemię — dwoista podnieta,
I serce w taką zakuta obróżę,

Że nie wié czemu, pragnąc najgoręcéj,
Gdzieś do lepszego świata uciec — przecie,
Im silniéj rwie się ku niemu, tém więcéj,
Coś je krępuje, więżąc na tym świecie.

II.

Rzucam ci mędrcze wielki to pytanie,
Prosząc, jeżeli zdołasz, o odpowiedź.
Lecz, jeśli wiész co, odpowiedź twą na nie,
Jak jasno pytam, jasno tak mi dowiedź.

Bo nie Gordyjski to węzeł, co cięcie
Alexandryjskiej stali wnet rozstrzyga.
Umysł obłąkan w dociekań odmęcie,
Krążąc, jak z dziecka rąk puszczona fryga,

Próżno się dręczy, jakby za pokutę,
Dlaczego serce? — O! daremnie bada!
Żądłami cierpień jak sito pokłute,
Jeszcze konając, ku ziemi przypada.

Gdzież się więc tai, owa niepojęta,
Odrywająca je nawet od Nieba,
Tak wszechmogąca, dziwna tak, ponęta,
Że mu innego szczęścia nie potrzeba?

Może to uśmiech najdroższéj istoty,
Jedno spojrzenie, słówko jedno miłe,
Wiąże do życia je takiémi sploty,
Nieprzemożoną tak niczém ma siłę,

Że biédne serce stojąc na rozdrożu
Nieświadomości — miotane koleją,
Po rozhukaném zagadnień tych morzu,
Pragnieniem śmierci, i życia nadzieją,

Nie wié co wybrać, by nie żałowało,
Z tych dwóch — straszliwych tak ostateczności;
Czy życie? — w którém pociechy tak mało,
Czy śmierć? — tę nicość, *jak zwą dziś*, nicości*).

*) Jak twierdzą niektórzy filozofowie dzisiejsi.

28/11 1880. N. 25.

PODZIĘKA.

Samotny, chory, u schyłku żywota,
Zawsze czytając rymy Walter-Scotta,
Pieśń jego wzniosła, rzewna tak, tak miła,
Uzdrawiające balsamy sączyła,
Ilekroć w smutném mém odosobnieniu,
Dusza ma grzęzła w ponurém marzeniu.
Więc gdyś się z gór twych do świata odzywał,
Nie dziw, żeś niegdyś mnie oczarowywał,
Gdy i dziś jeszcze — słodki mój Minstrelu,
Jakich na ziemię zsyła Bóg niewielu,
Rozkołysany nieraz zbyt boleśnie,
Szukam jak myślą, tak sercem twych pieśni,
Które mię koją łagodnémi dźwięki,
Niezapomnianéj jakiéjś twéj piosenki,
A nawet czasem — w niegodnym sposobie,
We własnéj mowie powtarzam ją sobie,

Jeśli na którą, śród takiego zbioru,
Oko me padnie trafem, bez wyboru.

Niegdyś, rozdrażnion, Szkocki Wajdeloto,
Nieopisaną pustki méj tęsknotą,
W Rokbaju twoim rozległych rozmiarów,
Społem z Wilfridem wznoszon do obszarów
Nieskończoności, i wysoko wzbity
Po nad etery, w podobłoczne szczyty,
Jak on szukałem ziszczeń ideału,
Który wcielając się w kształty pomału,
Błysnąłby memu olśnionemu oku,
W nieokreślonéj piękności uroku.
Teraz inaczéj; dzisiaj w twych natchnieniach,
Szukam pociechy tylko, jak w marzeniach
Błogich młodości — którą mi z szczodrotą
Dajesz, kochany Szkocki Wajdeloto,
Każdą sercową nutą twéj piosenki,
Za co serdeczne wzajem szlę ci dzięki.

Był inny jeszcze pieśniarz w Albionie,
Pieśniarz-Mistrz! — który, jak na nieboskłonie,
Słońce roztacza łuny gorejące,
On, jak to krwawo zachodzące słońce,

Zapalał niegdyś, gdy go ból rozdraźni,
Takie pożary w szczytnej wyobraźni,
Że pieśni jego — jak lawa z płomienia, —
Stopione w ogniach serca, czy natchnienia,
Lały się takim palącym strumieniem,
Że choć je zdumion, słuchał z upojeniem,
Cały świat, jednak nie wszyscy zdołali
Dotrwać prądowi piekącej tak fali,
I uciekając od nich, przerażeni,
Szukali mniejszych blasków, większych cieni,
Aby swe serca ustrzedz od zawrotu,
Myśli i uczuć takich kołowrotu.

Ja od młodości obeznany z niemi,
Party popędy może wrodzonemi,
A może zbrojny własnem doświadczeniem,
Zawszem wsłuchiwał się w nie z uwielbieniem,
Bo to, co w nich tak jaskrawie gorzało,
Bledszem zarzewiem jeno, we mnie tlało.
A to, co czułem tylko, tyś wyrażał,
Więceś mnie nigdy niczem nie przerażał,
Gdyś z twego tronu, grzmiąc na twym bardonie,
Mocarz-Poeta! Wieszczów-Król! — Byronie!
Rzucałeś światu, ginąc tak przedwcześnie,
Na pożegnanie, nieśmiertelne pieśnie!

W ośm lat, Bard Szkocki, po pierwszym poecie,
Poszedł go szukać w zamogilnym świecie,
A ja, Wasz czciciel, wierny Wam do grobu,
Modlę się za Was, błogosławię Obu!

BALLADA.

„W wiośnie dni naszych Ballady lubimy“,
Niegdyś w Beniowskim nasz Juljusz powiedział.
Lecz żeby można i wśród życia zimy,
Lubić jak dawniéj je, o tém nie wiedział.

Więc i ja z młodu lgnąłem do Ballady;
I nieraz nawet w rowienników gronie,
Gdy zasiadali do gwarnéj biesiady,
Czytałem jakąś z nich, chętniéj na stronie.

Bo mnie wtrącała w fantastyczne światy,
Nęcące, jak jéj barwa tajemnicza.
A więc i teraz, i dziś, jak przed laty,
Nie widząc prawie ludzkiego oblicza,

W jesienny wieczór, śród grobowéj ciszy,
Gdy niéma słówka do kogo przemówić,

Miło mi w braku żywych towarzyszy,
Z mą przyjaciółką znajomość odnowić.

Walter-Scott leżał na stole, więc z niego,
Na chybił, trafił, dla zabicia czasu,
Przetłómaczyłem wpiérw *Mnicha-Szarego*,
A po nim dziwa dziwów *Glenfinlasu*.

Gdy coraz więcéj świat dla mnie się mroczy,
Samotny, godząc się z mém przeznaczeniem,
Niech mię Świat-Duchów przynajmniéj otoczy,
Bo nie chcę stać się Mumią, lub kamieniem.

DO F. S. *)

(Posyłając mu wiersz do *Adama*).

Powiem Ci, Panie S.....erze,
Że Pan S....ner, w każdéj mierze,
Choć niemieckie ma nazwisko,
Lecz niczego człowieczysko,
Gdy się wyrwał od K......,
Którego dlań przyjaźń szczera,
Jak mu dobrze to wiadomo,
Bo to jest rozumny *Homo,*
Wróciwszy do Teperówki,
Sobaczéj téj łamigłówki,
Pewnie sobie teraz hula,
Marząc o robocie ula.

---

*) Wiersz do *Adama*, jak i wszystkie następne, prócz *Parafraza N. 2;* jako to: *Nekrolog 1884 R.*, *Rok 1885*, *To i Owo. Sobota*, *Ejmarmena*, *Krotochwila nie Krotochwilna*, dla *F. S.* napisane.

3*

A Pan K..... wręcz inaczéj,
Chociaż na to nikt nie baczy.
I nikomu ani w głowie,
Co mu w myśli, co on powie,
Po wyjeździe przyjaciela,
Niczém się nie rozwesela,
Tylko w ponuréj zadumie,
Jak to on, niestety! umié,
Przeczytawszy list Ci znany,
Do Adama nabazgrany,
Nie wiém, czemu, bo któż zbada?
Co się w duszy nam układa,
List ten tak go rozlubował,
Że go zaraz przepytlował
Z prozy na rym, i w téj szacie,
Szle Ci go, czci-godny, bracie.
Zaco — mówię to nawiasem —
Wspomnij sobie o nim czasem.
Lecz do rzeczy — precz androny!
Oto ów list przerobiony.

DO ADAMA.

Święty Adam, Wigilja, Nowy-Rok. — Ileż to
Niegdyś pociech w rodzinie, Adamie, bywało!
Zjeżdżamy się na Święta, sami swoi, gdzieżto?
Gdzieżto wszystko? Ach! wszystko to powymierało.
Teraz tylko niekiedy mary znikłych braci,
Spływając w snach, boleśnie jątrzą serca rany,
A ocknięty, znów szukam, tęskniąc, ich postaci,
Jak Żyd nad Babilonu rzeką rozpłakany.

I znów grób jeden wyrósł, gdzie spójrz, same groby,
Majaczą naokoło, jak złowrogie cienie,
I tylko na ich krzyżach — wieńcami żałoby,
Rozgoryczone żalem wiesza się wspomnienie.
Ponad temi mogiły, podlewany łzami,
Wyciągając najsmutniej rozwarte ramiona,
Góruje krzyż nad Matki mojej popiołami,
Jak pamięć o Niej w duszy najgłębiej złożona.

NEKROLOG.

1884 R.

Rok tysiąc osiemsetny ośmdziesiąty czwarty,
Runął już w czyhającą nań otchłań piekielną.
Zkąd przed rokiem na świata niedolę wyparty,
Zapracował na jego klątwę nieśmiertelną.

Więc prowadził do grobu go kondukt wspaniały,
Godny takiego trupa i takiej mogiły,
Wlokąc się straszną zgrają klęsk, bo go składały:
Wylewy rzék; — co całe kraje zatopiły;

Pożary; wsie i miasta doszczętnie chłonące,
Któremi przerażając śród nocnéj pomroki,
Porozwieszane łuny, szkarłatem płonące,
Rumieniły purpurą pożogi obłoki;

Huragany; — walące w gruzy wielkie grody;
Trzęsienia ziemi; — która, brana na tortury,

Rzygając wulkanami z bolu — żary, wody,
Rozwierała przepaście, wydymała góry;

Całuny chmur; — ciężarnych pogromem zagłady,
Co szkaradząc ngliskami jasne nieba stropy,
Wyrzucały z wnętrzności swych pioruny, grady,
Lub bajecznych nawałnic biblijne potopy;

Nagłe śmierci; — *rozboje;* — z codziennemi
[mordy;
Epidemje; — szerzące okropne zarazy.
Ileż to plag? o Boże! — któremi te hordy
Smagały wściekle, świat Twój śliczny; tyle razy.

Dzisiaj zewsząd ściągnięta wstrętna ta tak klika,
Spiesząc na uroczystość nie lada pogrzebu,
Towarzyszyła groźnie zwłokom nieboszczyka,
Aż pożarła go czeluść bezdenna Erebu.

Giń w niéj zbrodniu przytłoczon wzgardą za-
[pomnienia!
A jeśli cię kto kiedy wezwie twém imieniem,
To tylko, by twą pamięć — godną tak uczczenia,
Opługawić plwociną ohyd twych wspomnieniem.

$^1/_1$ 1885.

ROK 1885.

Naokoło mnie świat nowy,
Innémi on tory chadza.
Co poszło w świat zagrobowy,
Nigdy się już nie odradza.

I daremnie szukam okiem
Załzawionem, drogich twarzy,
Które, przed méj duszy wzrokiem,
Gdy się o nich zbyt rozmarzy,

Nieujęte, bezcielesne,
Wyraźniejsze z każdą chwilą,
Mkną — gdy mrzonki snów bolesne,
Zasłonę wspomnień rozchylą.

A choć przeszłość — niema rady!
W toń wieczności już zapadła;

Nieraz z głębin téj zagłady,
Wyzierają ich widziadła.

W aureoli — niby święci,
Smętne — jako żalu tchnienie,
Krwawiąc serce — po pamięci,
Przesuwają się, jak cienie.

I znowu ich wieczność chłonie.
Zatapia nicestwa morze.
A ja w grób mój po mym skonie,
Obok nich się nie położę.

Przytulisko me grobowe,
Już zaległo inne ciało.
I napróżno łamię głowę,
Jakim cudem to się stało.

Niespodziany! niesłychany!
Ugodził mię jakby młotem,
Bo w daleki kraj zagnany,
Nie wiedziałem wcale o tém.

Cud! — czy traf! — nie myślę badać,
Rozgmatwywać téj kabały.

Tylko niegdyś — co to gadać!
Takie cuda się nie działy!

Więc wytężam wzrok w świat mglisty,
Aby znaleść sześć stóp ziemi,
Na spoczynek wiekuisty
Sobie — gdzieś — między obcémi.

TO i OWO.

Nowy-Roczek w ślad ojczula,
Jak ojczulo nieźle hula.
Grzmi i błyska, *rychłyk* tato,
Choć to zima, a nie lato.
Dnie chmurnémi mgłami mroczy,
Że próżno wytrzeszczasz oczy,
Bo i ostrowidza wzrokiem,
Nie dojrzysz nic za obłokiem.
Trzęsie ziemią — że targana,
Trzepie się; jak opętana,
Lub waryatka — co się wścieka,
Gdy jéj jaki drab dopieka.
Dmie — że, zda się, coś się wali,
Lub w kominie sadza pali,
Taki huk, a huk nie lada,
Gdy aż z futryn okno pada,

I prysnąwszy na kawały,
Roznosi szum na dom cały.
O! zacny mój Felicjanie,
Co to się z tym światem stanie?
Co stanie się, co stać może,
Gdy się taki bęben wzmoże?
I ten Nowy-Rok, niegodny,
Tatula syn nieodrodny,
Idąc torem nieboszczyka,
Jak nieboszczyk się rozbryka?
Gdy już dziś nam tak dojada,
Że kto o nim się rozgada,
To twierdzi, że tak maleńki,
Do ojca podobniuteńki.
I łotr kubek w kubek taki,
Da się również nam we znaki.
Ja to słucham — i przyznaję,
Że każdy go słusznie łaje,
Bo każdemu zatruł życie,
Więc go też klnę należycie.
Ł . . . .
Teraz powiem Tobie,
Co obecnie myślę, robię.
Ot! sam nie wiem, poco, naco,
Mozoląc się ciężką pracą,

Pozbierawszy me bilety,
Przejrzałem je — i, niestety! —
Przypatrzywszy się im blisko,
Cóż to widzę? — smętarzysko! —
A bilety z nazwiskami,
To nagrobki z napisami,
Z których każdy ma znaczenie,
Budząc jakieś przypomnienie.
A ja śród nich, przyjacielu,
Pozostały mi z niewielu,
Błąkam się, i rzędem długim,
Czytam je – jeden, po drugim.
Bo napisy te milczące,
Lecz zarazem tak mówiące,
Ujawniają memu oku,
Jak w przejrzystym źródła stoku,
Owe, dawno niewidziane
Mary, niby powcielane.
Ach! a tyle ich przed laty,
Odpadło już w jakieś światy.
Tylu innych znów za niemi,
Poszło szukać tamtych w ziemi.
Więc wciąż po tym mogilniku,
Zatrupionym tak bez liku,
Sam wałęsam się dzień cały,
Bo biletów stos niemały.

A każdy z nich — jak zwierciadło,
Wskrzesza to co już przepadło
Wyraźnie tak — że się zdaje,
Każde widmo zmartwychwstaje.
Spytasz może, skąd znienacka,
Oprowadza mię przechadzka,
Po tak gorzkich zadum polu,
Po tym wspomnień *Nekropolu?*
Nie wiem — mówię tylko Tobie,
Co obecnie myślę, robię.

SOBOTA.

Mówią, że każdą Sobotę,
Niechaj je mgła jak chce dusi,
Jaką nie miałob robotę,
Słońce choć raz błysnąć musi.
Takto wszyscy powiadają:
Pan na łanach, chłop na grzędzie.
Jeszcze kłócą się, sprzeczają,
Że tak było, jest i będzie.

A tymczasem, wielkie Nieba!
Boże! zlituj się nademną!
Często i nocy nie trzeba,
Jak w Sobotę nieraz ciemno.
A więc cóżto za gadanie!
Co człek mądry z tego wnosi,
Gdy podobny fałsz, mospanie,
Tak po świecie się roznosi.

Ty im tłómacz — co wam w głowie?
A ta głupich bydląt rzesza,
Nic ci na to nie odpowie,
Tylko psy na tobie wiesza.
A w każdym z nich taka buta,
Że jak się rozzłości który,
Porównywa cię do bóta
Dziurawego, lub, do rury.

A niechże was porwą Czarci!
Co za upór tego tłumu!
Wyście wszyscy jedno warci,
Mózgownice bez rozumu!
Czémżeż przecie wam łby ciasne,
Sobota się tak zaleca?
Czyliż w Niedzielne dnie jasne,
Nigdy słońce nie przyświeca?

Czyż nie lśni i w Poniedziałki,
Wtorki, Środy, Czwartki — jak i
W Piątki? — tylko umysł miałki,
Wierzy krnąbrnie w nonsens taki.
Wszak to wszystko Boże dzieło,
Którém On od wieków rządzi;
I skądże wam to się wzięło,
Posądzać Go, że On błądzi?

Bo paplanie to dziecinne,
By Sobota przez rok cały,
Miała słońce — a dnie inne,
Rzadko kiedy je widziały.
Wszakże to i dziś Sobota,
A tak lapie deszcz, tak leje,
Że mając po uszy błota,
Każdy się z przesądu śmieje.

Jest jeszcze ktoś, co Sobotę
Umiłował — i nie lada;
Lecz o tém nie mam ochotę
Prawić wam, niechaj sam gada.
Ale mówiąc między nami
Mógł uwielbić ją tak silnie,
Bo i ona rozkoszami,
Darzyła go nieomylnie.

Powiem tylko, że to powieść,
Jak ciekawa, tak drażliwa.
A, co bardzo łatwo dowieść,
Że, w dodatku, i prawdziwa.
Niech więc rzeknie kilku słowy,
Historja to niezawiła,
Czemu tak dlań dzień godowy,
Ta Sobota, i tak miła.

SOBOTA.

Ballada Hiszpańska.

S Ü E.

Lubię Sobotę; — dzień to jedyny!
Milszy nad inne mi; bo w dniu owym,
Spadam z gór w doły, nakształt lawiny,
Po ciężkim trudzie w nich tygodniowym.
Czyszczę karabin rzeźbion w desenie,
I róg na taśmie zwieszon u szaty,
Bom już wystrzélał proch na jelenie;
I teraz może kozioł brodaty,
Na przepaścistym *Sierry* manowcu
Rozbrojonemu urągać łowcu.

Lubię Sobotę, jako wspomnienie
Pogoni, przez gąszcz, jary, opoki,
Gdy już przebrnąwszy bory, strumienie,
Wdrapię się czasem na szczyt opoki,

I wodząc okiem po okolicy,
Widzę daleko, ledwie dojrzaną,
Wsparty dłoniami na mej rusznicy
Wieś — jak zawojem, mgłami owianą.
Wieś ta rodzinną dziewczyny wioską,
Co zawiesiła róg mi u łona.
Więc się wpatruję w nią z jakąś troską,
Pytając smętnie: — wspominaż ona?

Lubię Sobotę, jako nadzieję;
Bo w dniu tym dziewczę rade mnie słucha.
I acz rumieni się, lecz się śmieje,
Gdy ją całując, szepcę do ucha,
Do ucha szepcę, drgając miłośnie:
Pod migdałami ta noc! — bo wierzę,
Że mnie nazajutrz znowu radośnie,
Choć pomieszana — powita szczerze.
A więc Sobota, jako wspomnienie,
Czy jak nadzieja w wszelakim względzie,
Dla mnie nad inne dnie — nieskończenie,
Milszą jest, była, i zawsze będzie.

A więc Hiszpan prostodusznie
Rzekłszy wszystko — patrz hołoto!
Mógł ukochać bardzo słusznie,

I tak pieścić się z Sobotą.
Ale wam czy to się godzi?
Wszakże grzechem przesąd taki!
Przeto każdy niech się zgodzi,
Czy magnat, czy ladajaki,

Że nietylko dla Soboty,
Słońce wisi tak wysoko.
Bo ziemia, swemi obroty,
Każdym dniem mu patrzy w oko.
I dla wszystkich światłem błyska,
Mimo wasze uprzedzenia;
Więc dowiodłem wam ludziska,
Co było do dowodzenia.

EJMARMENA. *)

„Muru głową nie przebijesz“,
Nie zaklniesz niepodobieństwa.
A więc giń! — lub żyj, jak żyjesz,
Skazan na srom, i męczeństwa.
Bo tu niema żadnéj rady!
Musisz paść pod gromów młotem,
Albo zasiąść do biesiady
Hańb — i cieszyć się żywotem.

To ci daje do wyboru
Nieuchronność *Konieczności*.
A pogrom tego potworu,
Jak *Fatum* starożytności,

*) *Ejmarmena* Grecka, *Fatum*, Rzymian. Bogini to nieubłagana, nielitościwa, okrutna i twarda w wyrokach swoich. Bez niéj nic się nie staje. Drżą przed nią sami Bogowie. Rozkazy jéj żelazne, nigdy niecofnięte. Godłem jéj młot olbrzymi.

Choćbyś jak wytężył ramię,
Naprężył hart dzielnéj duszy,
Wszystko porozbija, złamie,
W niedojrzane *Nic* rozkruszy.

Więc gdy stać się masz nicestwem,
Powalony plag natłokiem,
Nie goń całém twém jestestwem
Za ułudą, błędnym krokiem.
Raczej zajdź w jakie ustronia,
Z témi, co się ukochało,
W jakieś Elizeum błonia,
Gdzieś! — i z tą garsteczką małą,

Gardząc Losem — twoim katem,
Wierny wspomnieniu świętemu,
Żyj — okrążon innym światem,
Światem własnym — po dawnemu.
Bo inaczéj — kołowrotem
Klęsk zgruchotan — mówię tobie,
Ginąc pod nacisku gniotem,
Nie odpoczniesz — chyba w grobie.

A jeśli kiedy Nadzieją,
Która nigdy nie umiéra,
Jakieś mrzonki się rozśmieją,

I każda z nich pootwiera
Tobie — błogich przeczuć źródła,
To klęcz! — a módl się gorąco,
Aby w tobie nie ochłódła
Wiara — w Litość wszechmogącą.

Bo modlitwa tak żebracza,
Pokąd w sercu nie wystygnie,
Siłą ducha — choć rozpacza,
Za obłoki wprost Cię dźwignie.
Aż za nędze wycierpiane,
Wielkie Miłosierdzie Boże,
Krwawemi łzy wypłakane
I *Ejmarmenę* przemoże.

KROTOCHWILA NIE KROTOCHWILNA.

. . . .

Lecz nietylko na spotkanie
Kumoszka — jak w karnawale,
Cały strój ulegnie zmianie,
Meszty, ciżmy, i t. d.;
Pewnie jeszcze mi wypadnie,
Volens, nolens, niema rady!
Aby było jakoś ładnie,
Ogolić się, dla parady.
A Kopcidym na jedzenie,
Bo Ci życzeń też nie skąpi,
Umyślnie, na Twe uczczenie
Z jakąś kapustą wystąpi,
Którą dziś jak dał na strawę,
To Kozłowski go zapytał,
Skąd wyrwał taką potrawę,

Gdzie, u licha, ją wyczytał?
Ale on, kiwnąwszy głową,
Najskromniéj mu odpowiedzał,
Że ona dlań nie jest nową,
Że już dawno o niéj wiedział.
I dodał — (co wielce ceni),
Byle gęby nie żałować,
To i on się nie poleni,
Coraz lepszém, czémś częstować.
Więc, bywaj! bywaj! Kolego!
A dawszy się mu wygadać,
Wszystko, co zrobi dobrego,
Chwaląc — będziemy zajadać!

II*).

O mój przyjacielu stary!
Powiedz mi, co mi się stało,
Że jednemu Ci, bez miary,
Co mi przez myśl przeleciało,
Baję, paplam? — że smalone
Duby te — co mi po głowie

*) Rym *stary*, łatwo zamienić na przyjemniéjszy,. *jary*. Lecz nie idzie mi o Twą tężyznę zdrowia, dorównywającego, Bogu dzięki, sile umysłu, ale o ową, znaną mi, nieskantowaną na włos nigdy, w przeróżnych tarapatach życia, półwieczną zacność, dla któréj tyle Ci sprzyjam, ile szacuję.

Wywijają jak szalone,
Tobie płotę, Tobie mówię,
Mówię śmiało, wręcz, bo czuję,
Że pojmiesz, iż to te baty,
Któremi nas los katuje
Serdecznie tak, temi laty,
Taką pieśń mi w duszy grają,
Że aż w mózgu od jéj brzmienia,
Ciągłe kozły wywracają,
Same klątwy i — życzenia,
By ich wzajem tak biczował;
Że boję się, i nie żartem,
Abym wreszcie nie zwarjował,
W naprężeniu tak upartem.
A Ty wiesz najlepiéj przecie,
Znając me na wylot dzieje,
Jak samotnemu na świecie,
Czy się kiedy co zaśmieje,
A co smutniéj, czy zaśmiało
W najdawniéjszych nawet latach,
Przez które brnąc, z wiarą całą,
Nie kroczyło się po kwiatach.
Ale sza! — dosyć téj skargi,
Sza! — dość; ani pisnę więcéj;
Bo i tak już drżą mi wargi,
Serce drga coraz goręcéj.

PARAFRAZA Nr 2*).

Mniemałby kto wiérszokleto,
Że zamarzło w tobie serce,
Gdy z miłością i kobiétą,
Jesteś w strasznéj tak rozterce.
Żeś wygnał uczucie z duszy,
Wyziębił w niéj wszelkie ciepło,
I już nigdy ją nie wzruszy
Nie — tak wszystko w niéj zakrzepło.
Jednak, piszesz co, czy gadasz,
Ilekroć się w rymy bawisz,
Zawsze hołd piękności składasz,
I ją tylko hymnem sławisz.

*) Krotochwila ta, jest sparafrazowaniem, wielce zaostrzoném, gromiącéj mię nader łagodnie, także rymem satyry jakiéjś młodéj, nieznanéj mi panienki, którą mię ukarano za Parafrazę mą Nr 1 wiérsza *A. E. Odyńca:* „Do moich Przyjaciółeczek“.

Cóż więc tobie? — coś natchnienia
Niegdyś święcił im z miłością,
Dzisiaj w zgrozie oburzenia,
Taki sarkazm, z taką złością,
Tak bluźnierczy i zuchwały,
Bryznął szyderczo kobiecie?
Czyś rozbił o serce ich skały
Własne serce? — i w odwecie,
Piorunny ten wybuch burzy
Miał je zgnieść? — piewco szalony!...
Lecz on się już nie powtórzy,
Drwiną kobiet zagłuszony.

PRZEKŁADY.

NA SŁABOŚĆ LADY BYRON

przez

Lorda Byron.

Gdyś była smutna -- daleki, nie znałem
Żalów twych — cierpień twych nie przeczuwałem
Gdyś była chora — bo mi się zdawało,
Że jak ci szczęście i zdrowie zostało,
Tak, gdy mnie niema, w błogiéj ci zamianie,
Jedno i drugie na zawsze zostanie.
Lecz to nie iści się... Słowa me wieszcze,
Wróżąc proroczo przyszłość gorszą jeszcze,
Bo duch twój dręczon; — a rozbite serce,
Ściąga rozprysłe szczęty w poniewierce.
Nie szał to burzy, nie walka straszliwa,
Tak nam serdeczne porwała ogniwa,
Śród spokoju to wybrzeża cichego,
Wszystko zginęło! — prócz życia nędznego.

Okropniem pomszczon!... Lecz tak się godziło!
Com bądź przewinił, takież dane było,
Byś, jak Nemezys, ścigając mię wszędy,
Taką torturą karała me błędy?
Bóg na narzędzie dzikiéj tak katuszy,
Pewno nie obrał tak bliskiéj mi duszy.
Miłosierdnemu, gdy weń cios uderzy,
Za litość, wielka litość się należy,
Ale z twych nocy dawno sen wygnano;
Napróżno wzywasz go wieczór i rano.
Mogą pochlebcy kadzić ci dowolnie,
A przecie czujesz, że konasz powolnie,
Bo na węzgłowiu twém siadło przekleństwo,
Natężające konania męczeństwo.
Siałaś mi w serce bole jadowite,
A teraz zbiérasz żniwo ich obfite.
Miewałem wrogów w każdéj życia dobie,
Ale z nich żaden nie dorównał tobie,
Bo mogłem, mszcząc się, zgnieść ich złość, czy
[zawiść,
Lub na życzliwość zamienić nienawiść.
A okrucieństwo twe choć tak się wzmogło,
Czegóż odemnie obawiać się mogło?
Znając swą słabość, znając miłość moją,
Co ci puklerzem były, tarczą, zbroją,

Znając me serce, które oszczędzało
Tych, przez wzgląd na cię, co nie należało?
A więc na wierze świata, na rozgłosie
Szaleństw młodości mojéj, na chaosie
Jakichś potwarzy, tarzających w błocie,
Rzeczy nie byłych i byłych w istocie,
Wzniosłaś wspaniały pomnik, z kłamstw sklecony,
Cymentem zbrodni potwornie zlepiony.
Zamordowałaś, Klitemnestro wtóra,
Męża twojego bronią wstrętną, która
Zabiła jego szczęście — i nadzieję,
Że się doń może jeszcze los rozśmieje,
I na zwaliskach rozterek domowych,
Wystrzeli nowy kwiat w obsłonkach nowych![1]
Lecz ty godnością frymarcząc bezecnie,
Występek cnotą podszywając niecnie,
Wkroczyłaś hardo w zatargów arenę,
Kupując litość, za jaką bądź cenę!
A więc brnąc coraz w tak obłędne koła,
Znikła pogóda dawna twego czoła.

---

[1]) Wiersz ten, którego początek znajdujem w *Pamiętnikach Moora,* napisał natychmiast Byron, przekonawszy się o niepodobieństwie wzmiankowanéj zgody z żoną. Nie drukował go on za życia, po śmierci jego dopiéro go ogłoszono.

A może nawet i z niewiadomością ,
Czasem twe serce wybuchało złością ,
Dwuznacznikami, zniewagą — milczeniem,
Które wyplwanych obelg jest twierdzeniem.
Rzutami oka, co choć nic nie gada,
Więcej niekiedy niż słowo powiada.
Nic nie zaspałaś! — wziąwszy raz za godło
Wszystko ! — co wprostby cię do celu wiodło.
Twa filozofja niczemu nie przeczy,
Byleb, co rychlej, jak bądź, dojść do rzeczy.
Lecz jabym nigdy nie zdobył się na to,
By cię kwitować podobną zapłatą.

Wrzesień, 1816.

PIEŚŃ PIJACKA

(z Byrona).

Podajcie wina! — Nigdy w życiu całém,
Z taką rozkoszą puhar nie imałem!
Pijmy! — Któż nie pił? — Wino! — któż nie czuje?
Nigdy goryczą serce nie zatruje!

Wszystkiegom w życiu doznał już, niestety! —
Szukałem pociech w uśmiéchu kobiéty,
Którą kochałem. — Któż nie kochał? — ale,
Byłoż w jéj sercu szczęście? — czy w mym szale? —

W dniach méj młodości, przeświadczon do głębi,
Że się uczucie nigdy nie wyziębi,
Miałem przyjaciół. — Któż ich nie miał? — Boże!
Wszystkich ich wino wiernością przemoże!

Tkliwych kochanek serc znane nam dzieje!
Wino nie zmienia się, tylko starzeje.

Któż nie starzeje? Lecz, któż się pochwali,
Że z wiekiem sam się coraz doskonali?

Gdy ci kochankę, po lada rozterce,
Wydrze przyjaciel, — zazdrość rwie ci serce.
Któż nie zazdrośny? — choć, mówię najśmieléj,
Im tych przyjaciół więcéj — pić weseléj.

Gdy już wiosenne zbledną nam ułudy,
Szukamy wina, antydotu nudy!
I znajdujemy, co? — że, — bądźmy szczerzy,
Na dnie kielicha tylko prawda leży.

Gdy jeno, — wzamian mamiąc nas nadzieją,
Z puszki Pandory łzy na świat się leją,
Co nam nadzieja? — kiedy pewność mamy,
Że w winie wszelkie bole zatapiamy.

Niech żyje wino! — choćbyś był jak stary,
Odmłodniesz, smokcząc z kielicha nektary.
A gdy pomrzemy — któż nie umrze? — w Niebie,
Na podczaszego, Hebe, prosim ciebie.

Lachin y Gair, w języku *Erskim*, *Loch na Garr;* wielka góra w Północnéj Szkocyi, w pobliżu *Invercauldu*. Ma być ona, jak mówią, najwyższą w Anglii. Najwspanialsza to i najbardziéj malownicza z naszych *Alp Kaledońskich*. Widok jéj dziki, szczyt pokryty wiecznémi śniegi. Tam to część dzieciństwa mego przebyłem, a wspomnienia o niéj natchnęły mi następne strofy.

Byron.

LACHIN Y GAIR.

Precz mi z przed oczu ogrody różane,
Po których drepce wykwintniś ochotnie!
Wróćcie mi skały śniegiem obsypane,
Lubię swobodę ich, jak ich samotnie.
O Kaledonjo! wielbię twoje góry;
A choć na szczytach ich, jak w głębiach jaru,
Grzmią katarakty orkanom na wtóry,
Żal mi doliny dzikiéj Loch na Garru.

Tam, dziécię jeszcze, po lasach sosnowych
Rozwałęsany obłędnémi kroki,
Otulon pledem, z dziedzin zagrobowych,
Wzywałem wodzów z odległéj epoki.
I ledwie wieczór, gdy już zmierzch zapadał,
Zbiegałem pędem z jakiegoś wiszaru,
Abym w pamięci wiernie poukładał,
Co uzbierałem z legend Loch na Garru.

Cienie poległych! — wasz to głos ulata,
W podmuchu nocnym, ponad tą krainą?
Duch to wasz wymknął się z innego świata,
I krążąc, gwarzy coś ponad doliną?
Zima usiadła na lodowym tronie,
Chmury się kłębią śród niebios bezmiaru.
Widma pra-ojców mych mkną w mgieł obsłonie
Obwijającej biodra Loch na Garru [1]).

Bohaterowie! — żaden z was nie przeczuł [2]),
Pod *Culloden-Moor* takiego pogromu.
Walcząc rozpacznie, jak lwy, żaden nie czuł,
Padając, klęski krwawej tak, ogromu.
Aleście legli, z godną was, pociechą,
Na wiekuisty sen w grotach *Braemaru* [3]);
Kobzy grzmią pibrok na cześć waszą — echo
Roznosi dźwięk ich, w głębie Loch na Garru.

Jakżeś daleko olbrzymie kochany!
Kiedyż znów wrócę do twojej doliny?
Milszy mi stokroć grzbiet twój poszarpany,
Niż Albionu zielone równiny.
Kto raz oglądał wzniosłe gór obrazy,
Raz się rozmarzył zachwytem ich czaru,
Anglję obrzuci oczyma odrazy,
Bo gdzież w nich znajdzie wdzięki Loch na Garru?

[1]) Odnosi się to do mych naddziadów macierzystych, *Gordonów*, z których wielu walczyło w sprawie *Xięcia Karola*, znanego więcéj pod nazwą *Pretendenta.* Gałąź ta méj rodziny połączona była ze *Stuartami*, związkiem krwi i przywiązania. *Jerzy*, drugi *Hrabia Huntleju*, poślubił był *Annabellę Stuart*, córkę *Jakóba I. Szkockiego.* Miał z niéj trzech synów, z których trzeci z rzędu, *Willjam Gordon*, był moim przodkiem.

[2]) Nie jestem pewien, czy który z Gordonów padł pod Culloden, lecz że wielu z nich zginęło w powstaniu, załączyłem ich do poległych w najgłówniéjszéj bitwie.

[3]) Jest w górach Kanton téj nazwy; jest także i zamek *Braemar.*

Byron.

OBLĘŻENIE KORYNTU.

POEMAT

LORDA BYRONA.

JOHNOWI HOBHOUSE,

(LORD BROUGHTON).

POEMAT TEN

poświęca

Przyjaciel

BYRON.

22 Stycznia, 1816.

W 1715 roku, potężna armja Turecka, pod wodzą Wielkiego Wezyra, chcąc wtargnąć w głąb Morei, dla opanowania Napoli di Romania, najsilniejszéj twierdzy w kraju, postanowiła wpierw zdobyć Korynt. Po wielu strasznych szturmach, dowódzca zdziesiątkowanéj załogi, widząc niepodobieństwo oparcia się siłom tak przeważnym, zamierzył poddać się warunkowo; lecz podczas układów, zapalił się trafem skład prochów Tureckich, którego wybuch wyrzucił w powietrze siedmiuset niewiernych. Wypadek ten wściekle tak Turków rozdrażnił, że nie godząc się na nic, tak zapamiętale uderzyli na warownię, że tego samego dnia ją zdobywszy, w pień wycięli całą załogę, zamordowawszy wodza jéj Minottego. Ocalało z niéj bardzo niewielu, a między niémi i Antonio Bembo, wysoki dostojnik Wenecki.

Dzieje Turcji, T. 111., K. 151.

WSTĘP.

W tysiącznéj ośmset dziesiątéj rocznicy,
Najświętszéj za świat Chrystusa ofiary,
Młodzi, weseli, wiekiem rówiennicy,
Przelatywaliśmy ziem i wód obszary.
Smutek z naszego grona był wygnany!
Wbród, wpław, rzek bystrych przebywając tyle,
Lub pnąc się żwawo na gór strome ściany,
Rumak nasz nigdy nie spoczął na chwilę.
Często pieczara była nam namiotem!
Nieraz na łódu, płaszczami przykryci [1]),
Pod głową siodła, spaliśmy pokotem
Do świtu, jednym ciągiem, jak zabici.
Niekrępowani w czynie, ani w słowie,
Swobodnych myśli, które trosk nie znały,
Wierząc w nadzieję, i w żelazne zdrowie,
Drwiliśmy z przygód, jeśli się zdarzały.
Hufiec ów z różnych żywiołów zlepiony,

Z wszelkich wiar, mowy, stek ze świata krańca.
Ten woła Allach! bijąc mu pokłony,
Tamten przesuwa paciorki różańca,
A nawet — jeśli pamięć mię nie myli,
Byli — choć może dziwném to znajdziecie,
I tacy, co w nic, a nic nie wierzyli.
Słowem — drużyna najszczęśliwsza w świecie!

Lecz jedni zmarli już, drudzy wybyli.
Inni daleko gdzieś, osamotnieni.
Inni rozpierzchli się; w obecnéj chwili
Walczą, w szeregi rokoszan wcieleni,
Na zieleniących Epiru kurhanach,
Gdzie Wolność, chroniąc się, ściąga szermierzy,
Mścić ciężkie krzywdy na podłych tyranach,
Krwawym odwetem, za tyle łupieży.
Inny nakoniec, na swéj własnéj grzędzie,
Schnie, śród codziennych utrapień mozołu.
Ale już nigdy tak — niech co chce będzie,
Nie zahulamy rozkosznie pospołu!

Dnie te tak błogie znikły niepowrotnie!
Więc moje myśli jaskółczémi skrzydły,
Nad ich wspomnieniem unosząc się lotnie,
Gonią za témi młodości mamidły.
One to czasem budzą mnie z uśpienia.

I wówczas smętny wzywam, komu miło,
Kogo nie znudzą, posłuchać me pienia,
Wyparte z duszy dawnych natchnień siłą.

Kto z nieznajomych więc pójść ze mną raczy,
Usiądzie przy mnie, i z Akrokoryntu,
Niezwykły widok z przestrachem obaczy,
Szturm do Koryntu, i wzięcie Koryntu [2]).

OBLĘŻENIE KORYNTU [3]).

I.

Wieki już przetrwał Korynt, burz tyle,
Tyle pokoleń złożył w mogile,
Jednak dziś jeszcze, twierdzy obroną,
Jest on ostatnią swobód ochroną.
Gromy, orkany, z ich zgrozą całą,
Przeszły bez śladu nad jego skałą.
Kluczem jedynym okrawka ziemi,
Co choć runęła — ponęty swemi,
Gdy na nią spojrzysz ze szczytu wzgórza,
Jeszcze się z całym wdziękiem wynurza!
Pas ten ujęty w dwa mórz ramiona,
Których wód fala rozbałwaniona,
Acz mu wciąż grozi swemi zalewy,
U stóp mu w hołdzie składa swe gniewy.
Lecz gdyby wszystka krew wycedzona

Bratnia tu, z woli Tymoleona,
Aż do odwrotu Persów z przylądka,
Mogła wytrysnąć z tego zakątka,
Zaczerwienione nią morskie wały,
W szkarłatną nad nim tońby się zlały.
Lub gdyby kości trupów wyryto,
Których tu niegdyś tyle pobito,
To piramida z nichby przerosła
Akropol, który góra wyniosła [4]),
Dźwiga w obłoki pomiędzy chmury,
Zarysowując wieżyc kontury.

II.

Na Cytheronie, lśniąc, jak ogniska,
Mieczów dwadzieścia tysięcy błyska.
A niżéj, całą długość przestworza,
Od morza namiot bieli do morza.
Półksiężyc wszędy, gdzie zajrzy oko,
Ponad nim złotem strzela wysoko.
Kolumna Spahów po szańcach brodzi,
Któréj brodaty Basza przywodzi.
Gdzie spojrzeć turban, wielbłąd klęczący,
Tatar rumakiem wywijający,
Arab, Turkoman, co trzody pasał,
A dziś demeszką biodra opasał.
Dymy dział, huki ich w okrąg grzmiące,

Bałwanów morskich ryki głuszące.
Tam spiżu kawał z haubic wylata,
I co napotka gruchoce, zmiata.
Co chwila odłam głazu odpada,
Gdy się w mur pocisk armatni wjada.
A z wałów wzajem piekielne mordy,
Na szturmujące sypią się hordy.

III.

Lecz ów co walczył pod samym wałem,
Godząc weń z coraz rosnącym szałem,
Oznajomiony z wojną od młodu,
Jak żaden z synów najmędrszych Wschodu,
Party odwagi dziwnéj wściekłością,
Prześcigającéj inne dzikością,
Ów, co tak wszędzie rumakiem rwie się,
Co gdzie najgroźniéj na oślep prze się,
Co tak rozbija z twierdzy wycieczki,
Zwracając pierzchłych Turków z ucieczki,
A gdy baterja ogniem tak praży,
Że pod nią podejść nikt się nie waży,
Zsiadając z konia, własnym przykładem,
Zachęca innych iść jego śladem.
Najznamienitszy więc z waleczników,
Choć Sułtan wielkich miał wojowników,
Czy gdy wiódł hufiec do boju dzielnie,

Czy gdy nastawiał armaty celnie,
Czy gdy wyrzucał śmiertelne groty,
Lub gdy brał wroga w młyńca obroty,
Jak na obradach, tak i śród szyku,
Był Alp, renegat z Adryatyku!

IV.

Zrodzon w Wenecji — świetnego rodu.
Lecz z niej wygnany wolą narodu,
Przeciw ojczyźnie wzniósł broń szaloną,
Gdzie go nią władać tak nauczono.
Przysłonił czoło blade turbanem,
Jakby rodzimym był Muzułmanem.
I Koryntowi, i całej Grecji,
Podbój, narzucił prawa Wenecji.
A więc z Grekami i Wenecjany,
Alp, wróg ostatnich nieprzejednany,
Wiodąc do boju wraże im tłuszcze,
Pospołu mordem w krwi się ich pluszcze,
Podżegan gorzkich wspomnień nawałem,
I neofity dzikim zapałem,
Mszczącym zniewagi swe, takiej miary!
Że przez nie wyparł się ojców wiary.
Wenecja dlań już wcale nie była,
Czem się tak niegdyś słusznie chlubiła,
Wenecją Wolną — dziś zbir nikczemnie,

W gmachu świętego Marka tajemnie,
Podrzuca w *Paszczę Lwu* bezimienne,
Najohydniejsze baśnie codzienne [5]).
Ale on umknął, wzgardził narodem,
I odtąd boje jego zawodem.
Aż wskazał dumnie, blaskiem oręża,
Jakiego kraj w nim utracił męża.
Wznosząc Pół-księżyc nad Krzyżem śmiało,
Chcąc tylko mścić się, lub poledz z chwałą.

V.

Ali Kumurdżi, którego krwawy [6])
Skon bohaterski, wawrzynem sławy
Eugenjuszowi czoło ozdobił,
Pod Karlowitzem, gdzie ten go pobił,
Najokrutniejszy z nieprzyjacieli,
I co zostali, i co zginęli,
Umarł — rzucając straszne przekleństwo,
Na nienawistnych Chrześcjan zwycięztwo.
Chwała Kumurdżi, pogromcy Greków,
Nienadwątlona upływem wieków,
Nie potrważ? pokąd Krzyża wyznawcy,
Znów im nie wrócą — nowi wybawcy,
Swobody, jaką niegdyś z Wenecji,
Wolne jej syny przynieśli Grecji?
Lecz wiek już minął od owej chwili,

Gdy ją Niewierni znowu podbili.
Dowództwo przedniej straży Alpowi
Ali powierzył — renegatowi,
Który, niejednym czynem krwią zlanym,
Niejednym grodem z ziemią zrównanym,
Przekonał — niech mu nikt nie wymiata!
Jaki gorliwy zeń apostata.

VI.

Mur pada, szańce podrywa działo,
Blanki się kruszą pod kul nawałą,
Któremi sypią wkrąg śmigownice,
Od bomb ognistych płoną ulice.
Dachy pękają, gmachy się walą,
Pod wulkanicznych pocisków falą,
Pożar wybucha słupem czerwieni;
Albo rozdarty w tysiąc płomieni,
Jaskrawym blaskiem przylądek krasząc,
A w niebie gwiazdy swe ziemskie gasząc,
Strasznemi kłęby wznosi pod chmury,
Dym, z niedotlonych zgliszcz, krwawo-bury.
Aż wreszcie groźny, różowo - mglisty,
Zawisł nad miastem całun siarczysty,
Zgęszczon w tak brudne i grube cienie,
Że go nie przetną słońca promienie.

VII.

Lecz Alp nie samą zemstą wiedziony,
Wskazuje, z której uderzyć strony,
Gdzie wybić wyłom, by nim gromadnie
Tłocząc się, zdobyć warownię snadnie.
W obrębie twierdzy, jest ulubiona
Jego, przez ojca mu odmówiona.
Choć o nią błagał, niegdyś młodzieniec,
Jeszcze chrześcjanin, nie odszczepieniec.
Dziś więc, bądź co bądź, mimo starego,
Porwie dziewczynę mu w oczach jego.
W szczęśliwszych czasach, gdy mu niemiło,
Błogiego życia nic nie mroczyło,
Pokąd mu nazwy: łotr, przeniewierca,
Ciężarem zbrodni nie gniotły serca,
Ileżkroć w dniach on karnawałowych,
Świetniał w pałacach śród uczt godowych!
Ileżkroć w nocy z Adryatyku,
Lub z pod jakiegoś gmachu portyku,
Serenadami, które sam stwarzał,
Włoskim pięknościom główki rozmarzał!

VIII.

Niejedna z dziewic się domyślała,
Że go Franceska wzajem kochała.

A wszyscy, z mnogich jej wielbicieli,
Męki jej ducha z żalem pojęli,
Więc ją odbiegli, ze smutkiem czoła,
Nieskrępowaną stułą Kościoła.
A gdy Lancjotto, co nagle zginął [7]),
Na Ottomanów brzegi zawinął,
Ona — szczęśliwa dotąd dziewica,
Nie rozjaśniła nigdy już lica.
A reszty zmiany kapłan dokonał;
Całą pociechą jej, konfesjonał.
Gdy na bal czasem przyszła niechętnie,
Rzucała okiem w krąg obojętnie.
Wzrok roztargniony, strój zaniedbany,
Głos uwiązł w piersi niedosłyszany.
Nóżka jej drobna, jeśli tańczyła,
Ciężkiemi kroki salon mierzyła,
Gdy jej rówienne patrzą boleśnie
Na świt, kończący pląs ich tak wcześnie.

IX.

Gdy nad Dunajem Sobieski dzielny,
Pół-księżycowi niósł cios śmiertelny,
Weneta, cały pas od Eubei
Do Patras, wydarł Turkom z kolei.
Na rządy kraju zagarniętego,
W imieniu Doży, z rozkazu jego,

Wysłan Minotti; przybył doń wtedy,
Gdy on otrząsał się nieco z biedy,
Gdy pokój dawno tak zeń wygnany,
Zabliźniał krwawo broczące rany,
Nim jeszcze rozejm zerwan niegodnie,
Co mu dał chwilkę wytchnąć swobodnie,
Roznosząc wszędy smutek i trwogę,
Zapalił znowu wojny pożogę.
Stary Minotti jadąc do Grecji,
Zabrał i córkę z sobą z Wenecji.
Lecz nigdy! nigdy! na Greckim brzegu,
Nigdy! od tylu wieków przebiegu,
Gdy Menelaja, żona-zakała,
Zdradzając męża, światu wskazała,
Jakieto zbrodnie, ubitym szlakiem,
Za przeniewierstwem, ciągną orszakiem,
Nigdy! Francesce żadna dziewica,
Nie dorównała ponętą lica.

X.

Mur runął — szczerba wielka otwarta.
Jutro o świcie, zgraja zażarta,
Wtłoczy się w wyłom wpadając hurmem,
I gród zdobędzie ostatnim szturmem.
Wiedzą już zgóry, gdzie który stanie.
Naprzód Tatarzy i Muzułmanie,

W najsroższym ogniu, w najgęstszym dymie,
Walczący zawsze *na zgubne imie.*
Oni szlak sobie mieczem torują,
A śmiercią gardzą, lub z niej drwinkują.
A jeśli padną wszyscy na pował,
Następny szereg będzie wstępował
Na ten ich pomost z bruku trupiego:
I tak koleją — do ostatniego.

XI.

Północ. — Okrągła tarcza miesiąca,
O Cytheronu szczyt blask roztrąca.
Morze błękitem miga w ciemnocie,
W sklepieniu nieba pełga gwiazd krocie,
Które jak wyspy orszakiem lśniącym,
Tkwią w morzu drugiém w górze wiszącém.
Któż, raz wpatrzywszy się w ich promionka,
Gdy się po ziemi myślą zabłąka,
Nie radby wzlecieć z tego padołu,
By dzielić wieczność z niemi pospołu?
Drzemiącą falą ocean pluska,
Miękko nadbrzeżne kamyczki muska,
Szum ich w pomroku, w głuszy milczenia,
Przegrywa szmerem brzęku strumienia.
Wichry na wałach morskich posnęły,
Flagi obwisłe skrzydła zwinęły,

A nad proporcem jasno przyświeca,
Symbol proroka, blask Pół-księżyca.
Krzyk straży tylko, czasem, jedynie,
Mąci ten spokój, nim się rozpłynie,
Lub rumak tęskno rżąc coś zagada,
Naco mu echo gór odpowiada.
W tém mruk, jak liści szmer nieujęty,
Wionął przez obóz nagle ocknięty.
To Muezyna śpiew, na cześć Panu,
Budzi do modłów ludy Koranu.
Głos ten brzmiał jak pieśń Króla-Genjusza.
Co w pustkach smutkiem serce porusza.
Takim przeciągłym, jęczącym, dźwiękiem,
Samotna lutnia oddzwania z brzękiem,
Gdy czasem w ciszy, po strun jéj sieci,
Tchnienie powiewu lekko przeleci.
Obrońcom miasta dotąd ochoczym,
Zdał się on klęski głosem proroczym;
Oblegający nawet zadrżeli,
Gdy niespodzianie go usłyszeli,
Jakby rażeni niewysłowionem,
Owém przeczuciem jakiémś szalonem,
Co ziębiąc serce zimnem mrożącem,
Krew, w jednéj chwili, w lód ścinającém,
Tak potém miota niém dziwnym zwrotem,
Że w pierś płonącą wali jak młotem,

Wstydząc się, acz je strach gryzie srodze,
Że mimowolnej uległo trwodze.
Tak nas podzwonne smutnie przenika,
I za obcego nam nieboszczyka.

XII.

Alpa nad morzem namiot wzniesiony.
Szmery ucichły, pacierz skończony.
Straż naokoło porozstawiano;
Spełniono wszystko co rozkazano.
Jeszcze noc troski — jutro zapłaci
Zemsta mu z lichwą, krzywdy współbraci.
Chce spocząć chwilkę, pokrzepić siły,
By na jutrzejszy harc wystarczyły.
Lecz w jego duszy, jak morska fala,
Jakaś ponura myśl się przewala.
Sam, śród Niewiernych — on jeden wolen
Od fanatyzmu tego, co zdolen
Poświęcić życie, by Krzyż złamany,
Przed Pół-księżycem runął strzaskany,
Bo go Hurysy, z tak boską twarzą,
Wieczną miłością w Raju obdarzą.
Podniety sławy go nie unoszą,
Co zwalcza trudy wszelkie z rozkoszą,
Jak broniącego ojczyznę męża,
Co dla niej wszystkie siły wytęża.

Sam, apostata, zdrajca — krom sromu,
Nieufający słusznie nikomu,
Acz idą za nim, pełni wesela,
Bo ich bogatym łupem obdziela.
Posłuszni jemu, bo to mąż czynu,
Łamiący wolą swą upór gminu.
Ale z nich żaden mu nie przebaczył,
Że się urodzić Turkiem nie raczył.
Klną aż do chwały jego zazdrośnie,
Co śród nich wieńczy go tak rozgłośnie.
Oplugawiony tajnie językiem,
Że był poprzednio Nazareńczykiem.
I jak dziś Kościół drży przed nim z trwogi,
Tak dawniej Koran ciskał pod nogi.
Głupia ta tłuszcza nie podejrzywa,
Jaki to bolak w sercu narywa,
Gdy pycha spyta je jadowicie,
Zaco to tak mu zabito życie?
Jaką wściekłością dusze rozpłoną,
Kiedy im dobroć ich przyrodzoną,
Gniew w zatwardziałą tak złość zakuje,
Że hart ten nic już nie odhartuje.
Nie wie, jak groźnem jest odszczepieństwo,
Gdy doń zniewala ducha męczeństwo.
Rządzi nią jednak — najzuchwalszemi
Kierować łatwo — gdy ponad niemi,

Góruje wola, poparta czynem,
Jakiéj nie znajdziesz pomiędzy gminem.
Nad szakalami lwy tak panują.
Szakale zdobycz lwom wynajdują.
Lew ją żre, potém — swoim wazalom —
Resztki pozwala dogryść — szakalom.

XIII.

Skroń renegata gorączka pali,
Serce mu w łonie jak młotem wali.
Próżno, by zasnąć zniecierpliwiony,
Klnąc, się przewala na wszystkie strony.
Ledwie zadrzémie, drga całém ciałem;
Ciężkie go myśli tłoczą nawałem.
Turban jak klészcze czoło mu ściska,
Pancerz ołowiem piersi uciska.
A jednak nieraz spał jak zabity,
Za podścielisko mając granity,
Pod niebem szarém, chłodném, omglonémm,
Utkanym, z grubych chmur, pawilonem.
Nie może zasnąć — świtu nie czeka,
A więc z namiotu, znużon, ucieka,
I idzie błądzić, gdzie niesie oko,
Na brzeg, śród Turków, śpiących głęboko.
Pięścią, jak wałkiem, głowy podparli,
I śpią kamiennym snem, jak pomarli.

Czemuż on jeden zasnąć nie może,
Mając jedwabne, pyszne tak łoże?
Bo ich sumienia zgryzot nie znają,
Bo śnią o łupach co ich czekają.
I gdy im mknie noc z takim urokiem,
Ostatnia może — on tęsknem okiem,
Przyglądając się wojsku sennemu,
Zazdrości w duszy z nich ostatniemu.

XIV.

Orzeźwia nieco go noc prześliczna.
Czoło owiewa woń eteryczna.
Powyszczerbiany wzdłuż przystaniami,
Wprost niego Lepant błyska falami.
Szczyt gór Delfickich przysłonion śniegi,
Które przeżywszy wieków szeregi,
Zawsze te same, w srebrzystéj szacie,
Porozwieszane w cudnym klimacie,
Bieleją, jak przed lat tysiącami,
Nad témi góry, golfem, skałami.
O! ich nie stopi czasu potęga,
Który człowieka tylko dosięga!
Tyran, niewolnik, swobód obrońca,
Koleją giną pod okiem słońca.
Lecz ta obsłona śnieżna gór szczytu,
Patrząca w słońce co dnia od świtu;

Obsłonka wątła tak — gdy mur pada,
Drzewa się walą, ziemia zapada,
Niepoplamiona błyszczy srébrzyście,
Na cytadeli swéj wiekuiście.
Śniég w kształcie cyplów, które ubiela,
Pospołu z niémi w chmury wystrzela.
Mniemałbyś całun z mgieł rozścielony;
Który, rzuciwszy kraj ulubiony,
Wolność — skąd genjusz jéj tak uroczo,
Przemawiał słowy wieszczów proroczo,
Gdy na tak długo go opuściła,
Odchodząc smutna, nim go przykryła.
Gdziebądź spojrzała stroskanym wzrokiem,
Drgnęła, złamana strasznym widokiem.
Miasta w zwaliskach, sioła w ruinie,
Ołtarze w gruzach, jak i świątynie.
Napróżno patrząc na arcydzieła
Pogruchotane wszędy, pragnęła
Natchnąć, przesiąknąć wzniosłém swém tchnie-
[niem,
Strzaskane serca takiém zwątpieniem.
Darmo! — czekajmy szczęśliwszéj chwili,
Gdy się niedola wreszcie przesili,
I błyśnie słońce, które widziało,
Ucieczkę Persów, i z jaką chwałą,

Radością jaką, z Persem walczący,
Konał — Spartjata umierający!

XV.

Na przekor zdradzie, myśl renegata,
Ciągle do czasów lepszych ulata.
I gdy się błąka w nocy samotnie,
Obecność, przeszłość, niejednokrotnie,
Błysnąwszy w duszy mu jednocześnie,
Gnębią go zmorą wspomnień boleśnie.
Rozpamiętywa śmierć tak rycerską,
Co poginęli tu bohatersko,
Śmierć wielkiej chwały, rozgłośnej sławy,
Bo padli wszyscy dla lepszej sprawy,
Czuje on dobrze jaki sąd czeka,
Odstępcy wiary, w złości, człowieka,
Co wiedzie wściekle, nieubłaganie,
Hordy w turbanach, jak sam w turbanie,
Na obalenie Chrześcjan Kościoła,
Przed którym niegdyś uchylał czoła.
Na świętokradzkie upokorzenia
Krzyża — wpierw godła jego zbawienia!
Nie tacy byli owi mężowie,
Co mu się snują ciągle po głowie,
Których popioły, przez świat tak czczone,
Śpią wokół niego, błogosławione!

Na tej równinie, te same wały,
Falangi wojów tych osłaniały.
I padli wszyscy ci zapaśnicy;
Lecz nieśmiertelni — jak męczennicy!
Dziś ich imiona w brzęku strumyka,
W echach dąbrowy, w tchnieniu wietrzyka,
Żyją wieczyście, jak i kolumna,
Co nad ich pyły wystrzela dumna,
Szara, samotna, stercząc na błoni,
Chwałę ich głosząc, sławna jak oni!
Cień ich rozwiesza się po gór stokach,
Pamięć lśni w źródłach, w bystrych potokach,
Nurty strug drobnych, jak wielkie rzeki,
Z wodą swą, cześć ich zlały na wieki.
Acz jarzmo gniecie ją z całą złością,
Ziemia ta owych mężów własnością!
Nazwa jej dotąd hasłem dla ludzi,
Co świat z letargu niewoli budzi.
Gdy kto dokonać chce wielkich czynów,
Marzy o Grecyi — kraju wawrzynów,
I wskróś przesiąkły jej wspomnieniami,
Pospiesza mścić się nad tyranami,
A wytężając wszystką swą siłę,
Zdobywa wolność — albo mogiłę.

XVI.

Alp smutnie marząc ochładza łono,
Wonią powietrza tak odświeżoną.
Morze to nie zna przypływu — ale[8])
Wiecznie wydyma potężne fale.
Jednak z nich żadna, w całym rozpędzie,
I piędzi lądu mu nie zdobędzie.
Fal tych skaczących rzesza wesoła,
Pląsając, nie dba o księżyc zgoła.
Jedno im, wschodzi on, czy zachodzi,
Gdy po lazurach conocnych brodzi.
Bo jak na pełni, tak i przy brzegu,
Ani im nagli, ni zwalnia biegu.
Stopy nadbrzeżnéj, olbrzymiéj skały,
Nie podmywają kipiące wały,
Która nad niemi łyse swe szczyty,
Wznosi wysoko w niebios błękity.
Spód jéj od wieków srébrzą bałwany,
Fręzlą z koronek przejrzystéj piany,
Którą od brzegu piasek oddziela,
Co go złotawym rąbkiem wyściela.

Alp ponad morzem błądząc złamany,
Poszedł niebacznie pod twierdzy ściany,

Bo na strzał tylko od cytadeli;
Lecz oblężeni go nie widzieli.
Jeżeliby go z blanków dojrzano,
Pewnob go kulą poczęstowano.
Czyżby i pośród chrześcjańskich szyków,
Istniał ród zdrajców i nikczemników?
Ręceż im poschły, czy co strętwiło,
Czy może serca im wymroziło?
Nie wiém; lecz żaden strzał nie wypalił,
Coby odstępcę zuchwalca zwalił,
Chociaż Alp, jakby na pośmiewisko,
Tak się podemknął pod szańce blisko,
Że słyszał ciche straży rozmowy,
Tajemniczémi szeptane słowy,
Dolatujące go pośród stuku,
Tętniących stąpań ich wciąż po bruku.
Wkrótce psów chudych ujrzał gromadę,
Zbiegłą na wstrętną trupią biesiadę,
Które tak chciwie łup pożerały,
Że warcząc tylko nań — nie szczekały.
Skórę z Tatara czaszki zżółkniałéj,
Zdarły jak łupę z figi dojrzałéj,
I słychać było, jak ich paszczęka,
Chrupoce głowę, jak czaszka pęka [9]).
A nie przestając wciąż kości chrustać,
Ledwie już mogły na nogach ustać,

Tak sobie hojnie wynagradzały
Posty, co trzewia im rozrywały,
Pokąd dzisiejszéj bitwy harc krwawy,
Nie przysposobił im sutéj strawy.
Alp po turbanach porozrzucanych,
Poznał, że legł tu hufiec wybranych.
Szale zawojów seledynowe,
Wzdłuż przetykały pręgi ponsowe;
Z głów ich kosmyki włosów spadały,
Psy czaszki zjadły, włosy zostały [10]).
Na wilka, co się chyłkiem podkradał,
Sęp grubodzióby wściekle napadał,
Którego dotąd ćma psów zajadła,
Nie dopuszczała groźnie do jadła.
Jednak on zarwał — czyhając na nią,
Kawał padliny, tuż nad przystanią,
Którą drapieżne ptactwo dzióbało,
Rwąc, roztrząsając, co z niéj zostało.

XVII.

Alp wzrok odwrócił od téj szkarady,
I godowników takiéj biesiady.
Renegat nie zniósł tego widoku,
Choć nigdy w bitwach nie cofał kroku.
Wolał on zawsze patrzéć na męża,
Co ginąc w dzikich szermach oręża,

Wielki do końca, własną krwią zlany,
Która nań bluzga z ogromnej rany,
Wygląda śmierci, jak zmiłowania,
By mu skróciła męki konania,
Niż widzieć ciało trupie gnijące,
Żadnego bolu już nieczujące,
Którym drapieżne zwierzę urąga,
I krwawym pyskiem członki rozciąga.
Jest coś, jest, w chwilach niebezpieczeństwa,
Co oszołomia aż do szaleństwa!
Bo Chwała wieniec splata z wawrzynu,
Bo Honor świadkiem twojego czynu!
Ale po walce już, jak niegodnie,
Pobojowisko deptać swobodnie,
Na którém leżą pomordowane
Okrutnie, ciała niepogrzebane!
Patrzeć na ziemne, wstrętne robaki,
Dzikie zwierzęta, drapieżne ptaki,
Wyprawiające bankiet z radością
Z człowieka — jakby był ich własnością.

XVIII.

Obok warowni tuż — bez nazwiska,
Sterczą świątyni dawnej zwaliska.
Gruzy jéj dotąd czas uszanował,
Ale nikt nie wie, kto ją budował.

Dwie, lub trzy kolumn śród mnóstwa łomu,
Tyle zostało z tego ogromu.
Przeklęty Czasie! — coś jak z Przeszłości
Zniweczył wszystko — zniszczysz w Przyszłości!
Przeklęty Czasie! — co tylko tyle
Z przeszłości dajesz, by w każdą chwilę
Przyszłość płakała w wszelakim względzie,
Nad tém co było, nad tém co będzie!
Cośmy widzieli, i nasze syny
Obaczą: same, same ruiny!
Jak — glinianego dłoń robotnika,
Cobądź stworzyła; marnieje, znika!

XIX.

Siadł pod kolumną, wsparł się na dłoni,
Po rozmarzonéj powiódł nią skroni,
Jak zamyślony człowiek boleśnie.
Podany naprzód — głowa jak we śnie
Chyląc się coraz, jakby omglona,
Już mu zwisała prawie do łona.
Palcami bębnił po czole w złości,
Jak po klawiszach z słoniowéj kości,
Po których gniewnie błądzą dopóty,
Aż w nie wynajdą szukanéj nóty.
I coraz głębiéj w zadumę tonął.
Wtém jakiś szelest w ucho mu wionął.

Może to podmuch lekki wietrzyka,
Co przez szczelinę skalną przemyka.
Podniósł oblicze, spojrzał na morze,
Gładkie jak lustro całe przestworze.
Spojrzał na trawnik, i on milczący;
Skądże więc szmer ten tak wstrząsający?
Spojrzał na sztandar — na taką ciszę,
Żaden fałd jego się nie kołysze.
Jak i uśpione listki tą ciszą,
Na Cytheronie spokojnie wiszą.
Więc niczem sobie nie wytłómaczył,
Coby ten, smutny tak, szelest znaczył.
Lecz się zwracając w lewo po chwili,
Cóż to?! — wzrokże go, złudzon, nie myli?
Siedzi na gruzach cudnego lica,
Dziewica - Anioł! — Anioł - Dziewica!

XX.

Zadrżał, przestrachem silniej strętwiony,
Niżby go strwożył wróg uzbrojony.
— „Boże mych ojców! — co widzę! kto ty? —
Patrz! patrz! to wrogów błyszczą namioty.“
Miał się przeżegnać, lecz znaku Krzyża
Dłoń mu odmawia, bo go poniża.
Pragnął już uciec pod jego skrzydło;
Lecz go sumienia twarde wędzidło

Targnęło groźnie. — Wciąż się wpatruje;
Tak! to Franceska! — poznaje, czuje.
Ta sama twarz jéj anielsko-rzewna,
To samo oko, kibić powiewna.
Patrzy na postać tę ubóstwioną,
Co może mogła być jego żoną.

Rumieniec jeszcze lice jéj krasił,
Lecz szkarłat jego smutek przygasił.
Gdzież jest ów ustek wdzięk czarujący?
Uśmiech ów, wszystkich porywający?
Barwa błękitów morza cudowna,
Szafirom źrenic jéj nie dorówna.
Lecz one zimne, jak i te wały,
Jakimś lodowym blaskiem jaśniały.
Na gors rzucona lekka mantyla,
Nad śnieżném łonem jéj się rozchyla.
Na jéj ramiona krąglutkie — spada,
Kruczego włosa, bujna kaskada.
Ale nim słówko odpowiedziała,
Drobniutką rączką niebo wskazała,
Taką przejrzystą, że blado lśniąca,
Widniała przez nią tarcza miesiąca.

XXI.

— „Przychodzę, rzekła, do ciebie śmiało,
Bo cię ubóstwiam duszą mą całą.
Byś mi dał szczęście, spokój stracony,
I był przezemnie błogosławiony.
Przebyłam szańce wrogów bez trwogi,
Szukając ciebie, ciebie, mój drogi!
Mówią, słyszałam, że lew ucieka,
Gdy młode dziewczę dojrzy zdaleka.
A więc Wszech-Mocny, co niewinnego,
Od rozbójnika strzeże leśnego,
I mnie osłonić łaską swą raczył,
Że mnie z Niewiernych nikt nie obaczył.
Przyszłam cię ujrzeć, wydrzeć z ich matni,
Albo pożegnać po raz ostatni!
Odstępstwem ojców wiary niegodnie,
Okropnąś, sam wiesz, popełnił zbrodnię.
Lecz się przeżegnaj, odrzuć zawoje,
I weź mnie sobie, jak własność swoję.
Zmyj brud twej duszy — gdy się wybieli,
Nic już od jutra nas nie rozdzieli.“

— „A gdzież ustawim małżeńskie łoże!
Śród konających, lub trupów może?
Bo jutro zginą w rzezi, w pożarze,

Wszyscy Chrześcjanie, jak ich ołtarze.
Jutro, przysiągłem, krom twego domu,
Nikt się nie wymknie z tego pogromu.
Ciebie ukryję w takiej uskroni,
Że nigdy smutek nie zajrzy do niej.
Tam, połączymy się, gdy obalę
Pychę Wenecji w całym jej szale.
Gdy jej synowie, stek znikczemnienia,
Uczują ciężar tego ramienia,
Które, wściekłością, obałwanieni,
Upodlić chcieli, sami spodleni.
Gdy ujrzą, jak się mszcząc ma zniewaga,
Skorpjonowym ich biczem wysmaga.“

Ona dłoń kładzie na jego dłoni,
Tak lekko, jakby musnęła po niej.
Drgnął aż do szpiku, serce stężało,
Jakby mu nagle zlodowaciało.
Z rączki tej trupio - zimnej, maleńkiej,
Nie mógłby swojej wycofać ręki.
Nigdy go uścisk istoty drogiej,
Nie wstrząsł tak drgawką śmiertelnej trwogi.
Palce te białe, smukłe, jak z lodu,
Wlały weń tyle jakiegoś chłodu,
Że wystudzona krew w nim tym chłodem,
Zmroziła, ścięła mu serce lodem.

Skamieniał; zziębło płonące łono,
Kiedy spojrzawszy na ulubioną,
Na to oblicze niegdyś tak znane,
Dostrzegł w niém taką straszliwą zmianę!
Twarz jéj wychudłą, nie uwesela,
Ów promień myśli, co z niéj wystrzéla,
A który niegdyś lśnił na jéj licu,
Połyskiem morskich fal o księżycu.
Usta jéj martwe jak nieboszczyka,
I słowo martwe z nich się wymyka.
Łono nie wznosi się tchnieniem ciepła,
W żyłach krew wszystka jakby zakrzepła.
A choć w jéj oczach iskry gorzały,
Powieki jednak ani zadrgały.
Wzrok nieruchomy patrzy boleśnie,
Jak lunatyczki chodzącéj we śnie.
Rzekłbyś: cudowna postać z obicia,
Powoływana czasem do życia,
Gdy w świetle lampy umiérającéj,
Łagodny podmuch z okna niechcący,
Przemknąwszy izbę, potrzęsie smutném,
Gobelinowém na ścianie płótnem.
Postacie martwe te, nieżyjące,
Lecz podobieństwem życia rażące,
Dla rozmarzonych wieczorną ciszą,
Schodzą z ram, zda się, gdzie się kołyszą,

Ilekroć tkanką tła niespodzianie,
Potrąci owo z okna powianie.

— „Jeśli nie dla mnie, przez miłość Boga,
Zrób to dla Niego! Zrób! odstąp wroga.
Mówię ci jeszcze, zrzuć turban z czoła,
Oszczędź współ-braci — synów Kościoła.
Jeźli nie,... zginiesz w krwawéj rozpaczy!
I wzrok twój nigdy już nie obaczy
Nie ziemię; ziemi nam już nie trzeba,
Nie dla nas ona! — lecz mnie i nieba.
Jeźli wyżebrzą co me błagania,
Choć dla cię niéma tu zmiłowania,
Chociaż okropny los cię ukorzy,
Lecz miłosierdzia bramę-ć otworzy.
A jeźli dłużéj będziesz odwlekać,
Możesz się klątwy Bożéj doczekać.
Rzuć raz ostatni wzrokiem po niebie,
Patrz! jak zamyka się już dla ciebie.
Patrz! — przy księżycu obłoczek płynie;
Chmurka ta mała wkrótce go minie.
A gdy przysłonion księżyc jéj mrokiem,
Znów w całéj jaśni błyśnie przed okiem,
A jeszcze serce twe się nie skruszy,
Bóg pomści ludzi — biada twéj duszy!

Straszny cię czeka cios z Jego ręki,
I nieśmiertelność straszliwszej męki.“

Alp podniósł oczy, i zadumany,
Dostrzegł na niebie znak mu wskazany.
Lecz duma jego zakamieniała,
Ugiąć się sercu jego nie dała,
A sama w taką pychę się wzbiła,
Że w niém uczucie inne zabiła.
On! żebrać łaski! — *On!* drżéć za winy,
Przerażon słowy wątłéj dziewczyny!
On! przez Wenecjan tak znieważany,
Ocalać ród ich, na śmierć skazany!
Choćby ten obłok był piorunowy,
Niech bije piorun! nie ugnie głowy.

I nic nie rzekłszy, wznosząc wzrok w górę,
Utkwił go bacznie w księżyc i w chmurę.
Chmura minęła — światło księżyca,
Całym mu blaskiem oblało lica.

— „Jakibądź los mój, zawołał groźno,
Ja się nie zmieniam, nie! już zapóźno!
Burza wykręca trzcinę, gnie w złości,
Lecz się po burzy trzcina wyprości.
Dąb runie złaman. — Czém Wenecjanie
Alpa zrobili, tém Alp zostanie,

Wrogiem Wenecji! — gardzę nikczemną!
Lecz tyś bezpieczna; uciekaj ze mną!“

Mówiąc to nagle ku niéj się zwrócił,
Lecz jéj nie było, gdzie okiem rzucił.
Tylko z marmuru kolumna biała,
Samotna — obok niego stérczała.
Co to jest? — ziemiaż ją pochłonęła,
Czy się w atmosferze rozpłynęła?
Nie wié, i nie wié jak wytłómaczyć,
Coby to było, co to ma znaczyć.

XXII.

Noc upłynęła, słońce jaśniało,
Jakby dniu święta przyświécać miało.
Ranek wychyla się wybielony,
Świetny, zpod szaréj cieni obsłony,
Ale Południe — jak się zdawało,
Gnębiący upał zapowiadało.
Słyszysz grzmot bębnów, dźwięk trąb ponury,
Szelest sztandarów, co im na wtóry
Furkoczą skrzydły rozpostartémi,
Nad szeregami już skupionémi?
Szczęk stali, rżenie donośne koni.
Rozgwar motłochu, i krzyk, do broni!

Pyszne buńczuki sterczą, jak kity [11]),
Każdy atagan z pochwy dobyty,
Hufce się coraz bardziej ściskają,
I, milczkiem, hasła tylko czekają.
Tatarzy! Spahi! zwińcie namioty,
Dosiądźcie koni! — zwartemi roty
Idąc po przedzie, wasze zagony
Rozpuścić bacznie na wszystkie strony,
Aby nikt z chrześcijan, starzec, czy dziécię,
Się nie wyśliznął, nie umknął skrycie,
Kiedy Janczary w bojowym szyku,
Śród huku bębnów i armat ryku,
Wkroczą w wyłomy, śpiesząc za wami,
Które niejeden z nich krwią oplami.
Dzielne rumaki rżą, skaczą, rwą się,
Śliczne ich główki na piersi gną się,
Każdy z nich parska, i pianą pryska,
Co na wędzidło mu ścieka z pyska.
Lonty się błyszczą pozapalane,
Potężne działa wycelowane,
Wszystko gotowe, by gród obalić,
Co się zaczyna i sam już walić.
Na czele hordy, idąc po przedzie,
Alp swych Janczarów do szturmu wiedzie.
Ręka po ramię z szat odwinięta,
Naga — jak klinga z pochwy wyjęta.

Chan i Baszowie z miéjsc się ruszają,
Wezyr dowodzi całą tą zgrają.
Gdy śmigownica huknie w dolinie,
Niech się z Koryntu nikt nie wywinie.
Ni ksiądz w kościele, ni pan w pałacu,
Ni kamień w gmachu, ni gmach na placu!
Allah i Prorok! — Niech Koran żyje!
Alla-Hu! — krzyk ten w niebiosa bije.

— „Wyłom gotowy, na nas już czeka;
Drabinki macie, niech nikt nie zwleka!
Kto was powstrzyma? — miecz wyostrzony.
Kto piérwszy zwali z was Krzyż czerwony,
Co się tak długo upornie trzyma,
Czego zapragnie, wnet, tu, otrzyma!“

Wołał Kumurdżi nieustraszony.
Odrzekł mu broni szczęk, wrzask szalony,
Wszystko to w rozgwar okropny zlane.
Cyt! — baczność! — lonty! — pal! — hasło dane.

XXIII.

Tak na bawoła wilków gromada,
Trąbiąc i wyjąc, na oślep wpada.
Pyszny źwiérz ryczy, oczyma błyska;
Biada piérwszemu, co go naciska

8*

Zbyt śmiele, mimo jego wściekłości.
Racicami mu zgruchocze kości,
Lub go wyrzuci w górę wysoko,
Zbroczonym rogiem jego posoką.
Tak Muzułmanie pędzą na szańce,
I tak zmiażdżeni pierwsi pohańce.
Działa pancerze w drzazgi druzgocą,
Hufce niewiernych tłuką, łomocą,
I ryją ziemię, którą porwane
Trupy ich, jakby szkła potrzaskane,
Krwawémi szmaty wkrąg zaścielają.
Całe szeregi w okół padają,
Jak trawy, którą na łące kosy,
Jednym zamachem kładą w pokosy.
Taką straszliwą rzezią odparli,
Tych, co na wyłom pierwsi się darli.

XXIV.

Jako przypływu morskiego wały,
Waląc w potężne wybrzeża skały,
Rwą z nich po bryle twarde granity,
Aż wreszcie runą szare ich szczyty,
Z łoskotem gromu, w morza głębiny,
Jak lodozwały *Mont-Blanc* w doliny;
I Koryntjanie tłumem zgnieceni,
Rozpaczną walką oszołomieni,

Ściskają szyki, i ramie w ramie,
Każdy na zabój z wrogiem się łamie,
Nie ustępując mu ziemi piędzi,
Dla której resztek życia nie szczędzi.
W boju srożącym się najnamiętniéj,
Jedna śmierć milczy najobojętniéj.
Strzały rusznicze, bułatów cięcia,
Huki armatnie, rohatyn pchnięcia,
Wrzaski pogromców, jęk pokonanych,
Na pobojisku porozciąganych,
Cała ta wrzawa tak rozpaczliwa,
W jakiś piekielny homon się spływa.
Dalekie grody, co go słyszały,
O koniec walki z zgrozą pytały,
Nie wiedząc, smucić się, czy weselić,
By się z innémi wieścią podzielić.
Słysząc ten rumor przerażający,
Przez wzgórza, jary, ku nim lecący,
Zdało się — burza w dali hucząca,
Którą strwożone echo odtrąca.
Huk ten słyszano w całym rozgwarze,
Jak w Salaminie, tak i w Megarze,
A wedle innych, aż do Pirei,
Dobiegł, ogłuszon nieco, z kolei.

XXV.

Od rękojeści do końca miecze,
Krwią sposoczone, co po nich ciecze.
Lecz miasto wzięte, mord rozpoczęty,
Rzeź, grabież, i łom wszystkiego wszczęty.
Ale najwięcéj rozpacznych krzyków,
W domach łupionych przez rozbójników.
Słyszysz stąpanie uciekających,
Po krwi krzepnącéj się ślizgających,
Którzy znalazłszy jakieś oparcie,
Odwracają się nagle zażarcie,
I znowu mordy rozpoczynają,
W których koleją wszyscy padają.

Śród nich widzimy starca — włos biały,
Lecz sam wykuty, jakby ze skały.
Bój całodzienny sił mu nie zhasał,
Acz się półkolem trupów opasał.
Dotąd nieranny — ręką i nogą,
Prze wrogów, co go obejść nie mogą.
Pod świetną zbroją, co pierś mu kryła,
Niejedna rana się zabliźniła.
Lecz choć mu łono tak poorały,
Z dawniéjszych czasów one zostały.
Niewielu młodych szermierczym harcem,
Mogłob się spotkać, mierzyć z tym starcem.

Dziś wróg gromiony przezeń samego,
Liczniéjszy, niż włos na głowie jego.
Na lewo, prawo, mieczem wywija,
I tu zabija, i tam zabija.
Niejedna po tym dniu Ottomanka,
Opłacze męża, syna, kochanka,
Którzy się jeszcze nie porodzili,
W owéj, pamiętnéj dla niego chwili,
Gdy, lat dwadzieścia mając, miecz zbroczył
Piérwszy raz Turków krwią, i wytoczył
Tyle jéj, że go wawrzyn ozdobił.
Mógł być tych ojcem, których dziś pobił.
Straciwszy w krwawéj bitwie sam syna,
Okropnym stał się dla Moslemina.
I ramię ojca, które go mściło,
Tak nienawistnie Turków gromiło,
Że z ciał ich, które życia pozbawił,
Hekatombę mu straszną wyprawił.
Jeśli weselą poległych mary,
Tak rozbójnicze dla nich ofiary,
Achil mniéj posłał ich Patroklowi,
Niżli Minotti swemu synowi,
Który pochowan, gdzie Dardanella,
Od Europy, Azję oddziela,
Gdzie spoczywają w zimnéj mogile,
Bohatérowie, których tam tyle

Od lat tysięcy, wciąż grzebał zwłoki,
Opłakujący ich, żal głęboki.
Cóż z nich dziś, cóż dziś z nich pozostało,
Aby wskazało nam, powiedziało,
Gdzie poginęli, w jakich sposobach?
Kiedy? gdzie leżą? — nic na ich grobach!
Ani kamyczka! — nic! — tylko pieśnie,
Ich nieśmiertelność sławią boleśnie.

XXVI.

Słyszysz krzyk Allah? — oto nadchodzi,
Huf najdzielniéjszy z tureckiéj młodzi.
Ręka ich wodza naga po ramie,
Gdzie nie powinie nią, wszystko łamie.
On im wskazuje, gdzie godzić mają.
Po tém ramieniu wszyscy go znają.
Innych harcerzy rynsztunki złote,
Łakomiéj nęcą chciwą hołotę.
Innych rękojeść lśni kléjnotami,
Ale jéj klingę krew tak nie plami.
Tam, pyszny turban, Baszy bogacza.
Alpa jednego tylko, odznacza
Śród hordy, ramie gołe, gdy wpada,
Gdzie się najsrożéj walka rozjada.
Żadna chorągiew, jak jego zblizka,
Pod hufce Chrześcjan tak się nie wciska,

I za sztandarem żadnym tak radzi,
Nie śpieszą. Delhy, gdziebądź prowadzi.
Lśni on, jak gwiazda z nieba strącona,
Gdzie tylko błyska dłoń ta szalona,
Tam najzuchwalsi zawsze się bili,
Najodważniejsi karki kręcili.
Dusza spodlona tam nadaremnie,
Błagała łaski, żebrząc nikczemnie.
Tam najgroźniejszy — zęby ścisnąwszy
Ginął bohatér, ani jęknąwszy,
Tylko, poszarpan rany mnogiémi,
Chwytając ziemię dłońmi krwawémi,
Niknące siły swe wytężając,
Groził wrogowi jeszcze — konając.

XXVII.

Starzec bohatér, rozsrożon, wściekły,
Powściągnął Alpa zapęd zaciekły.

— „Zdaj się, Minotti, ocal twe życie,
A z niém wybawisz i twoje dziécię“.

— „Nigdy! ludzkiego rodu zakało,
Choćby to życie wiecznie trwać miało“.

— „Francesco droga! — czyliż i ona
Przez twoją pychę ma być stracona!?“

— „Ona bezpieczna“.

— „Gdzież ona?“

— „W niebie!
Które zamknięte, łotrze, dla ciebie.
Daleko!“

I śmiech dzikiéj pogardy,
Wstrząsł mu ustami, gdy Alp, tak twardy,
Drgnął na te słowa, blednąc zarazem,
Jakby przeszyto mu pierś żelazem.

— „Boże! i kiedyż ona umarła?“

— „Wczora się wieczność dla niéj rozwarła.
Ale jéj śmierci nie opłakuję,
Bom teraz pewien, bo teraz czuję,
Że z mego rodu nie weźmiesz jeńca.
Ni dla Proroka, ni odszczepieńca,
Podejdź tu zdrajco!“ —

Próżne wyzwanie!
Bo się zaczęło Alpa konanie.
Gdy słowo starca z tak straszną siłą,
W serce mu wstrzęgło, w serce się wpiło,
Że niczém — jeślib się z nim szamotał,
Takimby ciosem je nie zgruchotał,

Gdy tak doń mówił, z wielkiéj świątnicy,
W któréj ukryli się wojownicy,
Kula tak celnie weń ugodziła,
Że go na miejscu z nóg powaliła.
I runął nagle — nim to dojrzano,
By już nie powstać, z czaszką strzaskaną.
W chwili upadku, jak błyskawica,
Mignęła światłem jego źrenica,
Potém mrok wieczny, wciąż ciemniejący,
Przysłonił mózg mu jeszcze drgający.
A z życia tyle tylko zostało,
Gdy czasem lekko wstrzęsło się ciało.
Janczary trupa na grzbiecie kładą,
Pył z krwią zmięszany brudzi twarz bladą,
Z ust mu wypływa posoka zsiadła,
Która gęstniejąc, krzepła i bladła.
Puls już nie tętnił — żaden jęk, ani
Przerażająca tak, chrypka krtani,
Nic, z owych oznak w chwili konania,
Gdy się już dusza z ciała wyłania.
Tak więc, nieskruszon nieba utratą,
Umarł, jak niegdyś żył — apostatą.

XXVIII.

Wrzasnęły wściekle oba obozy,
Jeden z radości, drugi ze zgrozy.

Przyjaciół serca bole ścisnęły,
A nieprzyjaciół pociechą drgnęły.
I znów bój zawrzał; miecze szczękają,
Grzmią karabiny, kule latają.
Pchnięcia i cięcia godzą co chwilę,
Ci walczą, tamci leżą już w pyle.
O każdą stopę, piędź każdą ziemi,
Minotti drze się z resztkami swemi.
Straszny ten hufiec przy jego boku,
Wspiera go dzielnie, nie cofa kroku.
Trzeba im jeszcze zająć świątnicę,
Skąd wypadł zbawczy strzał na ulicę,
Który Alpowi kulą tkwiąc w głowie,
Upadek grodu pomścił w połowie.
Tam więc cofają się wolnym krokiem,
Znacząc swój pochód krwawym potokiem.
Za każdym razem, pociskiem dzielnym,
Darząc niewiernych ciosem śmiertelnym.
Tak więc wódz Chrześcjan z garstką ostatnią,
Łączy się wkrótce z drużyną bratnią,
By nieco wytchnąć w olbrzymiej nawie,
Po tak piekielnej dziennej przeprawie.

XXIX.

Spoczynek krótki. — Turków turbany,
Kłębiąc się coraz, jak nurt wezbrany,

Płyną, a płyną. — Pohańców szyki,
Wstrząsają miasto dzikiemi krzyki.
Czerń ich tak wielka, tak się ścisnęła,
Że sobie samym odwrót odcięła.
A od kryjówki nieprzyjaciela,
Ledwie ich ciasny przesmyk oddziela.
Próżno-b ci, co się dalej zagnali,
Przez tłum ten przerznąć się pokuszali,
Nie mogąc z matni tej się wywinąć,
Muszą na oślep bić się, lub ginąć.
Giną — lecz nim się zamkną im oczy,
Mściciel po trupach ich znów się tłoczy.
Nowi walczący wciąż przybywają,
Szczerby w szeregach swych wypełniają,
Pokąd nie padną sami. — Krwią zlanym,
I z ostatecznych sił wyczerpanym,
Chrześcjanom ręce słabną mdlejące,
A tu zastępy coraz rosnące.
Wre bój. — Ołtarze światłem omglonem,
Migocą w strzałów dymie zgęszczonym.
Już Muzułmanin pod drzwi nadciąga,
Lecz go ten olbrzym z miedzi powściąga.
Otwory jego kulami sieją,
Z okien siarczane płomienie zieją,
Podwoje bite, trzęsą się, skrzypią,
Wrzeciądze rwą się, zawiasy rypią,

Drzwi na kamienne walą się płyty,
Wszystko skończone. — Korynt zdobyty!

XXX.

Na zakrwawionych stopniach ołtarza,
Który wścieczony wróg tak znieważa,
Wprost obalonych gmachu podwoi,
Straszny — sam jeden Minotti stoi.
Nad nim prześliczny obraz Madonny,
Cudnym wyrazem rozanielony,
W któréj obliczu, spojrzeniu oka,
Tak wielka litość, miłość głęboka!
Obraz ten święty, Bosko uroczy,
Zwraca ku niebu duszę i oczy,
Gdy klęcząc, patrząc, na nią w pokorze,
I na kolanach jéj Dziécię-Boże,
Widzimy, jak się do nas uśmiécha,
Jak nam z jéj źrenic spływa pociecha,
Jakby nam rzekła: „wasze pacierze,
Zaniosę Bogu; módlcie się szczérze".
Dziś nawet, śród téj rzezi i wrzawy,
Promieni uśmiech jéj słodko-łzawy.
Minotti ku Niéj wzniósł stare oko,
Potém przeżegnał się — a głęboko
Westchnąwszy, ujął knot tuż płonący,
I stał, okropny, przerażający,

Podczas, gdy Turków dzika gromada,
Do bazyliki, tłocząc się, wpada.

XXXI.

Pod mozajkową posadzką — prochy
Trupów odwiecznych zaległy lochy.
Wszystkich ich nazwa na płycie ryta,
Lecz zpod krwi nikt się jéj nie doczyta.
Barwy marmurów, herby rzeźbione,
Także jak płyty krwią obroczone,
I przysypane broni łamami,
Co je nakrywa wszędy stosami.
W świątyni ciała pobite świéżo,
A w grobach, w trumnach od wieków leżą.
W światełku, co tam mdło przyświécało,
Nieboszczyków tych widać niemało,
Nagromadzone niejedném latém,
Gnębią ponurym swym majestatem.
Lecz wojna i tu wtargnęła skrycie,
I poskładała na swe użycie,
Kule, proch, siarkę — prześliczne skarby,
By zaprzeć ludzkość w żelazne karby.
Do zapaśnego tak więc dziś lochu,
Wiedzie z kościoła sznureczek prochu.
Będzie to bankiet, którym Minotti,
Chce poczęstować tureckie roty.

XXXII.

Turcy podchodzą, Chrześcjan niewielu,
Walczy rozpaczną walką bez celu.
W braku żyjących, dla nasycenia
Zemsty, i wściekłéj złości pragnienia,
Dziki zwycięzca kraje tułowy,
Zsiniałym trupom odcina głowy,
Wali posągi, świętym urąga,
Z ołtarzy wota kosztowne ściąga,
I między sobą, — każdy zacięty,
Drze się o srébrne kościelne sprzęty.
Ku ołtarzowi prą się wielkiemu,
Który tłumowi osłupiałemu,
Przepychem swoim zdumiewający,
Przedstawia widok olśniewający.
Na mensie kielich złoty, bogaty;
Tryumf ich godzien takiej zapłaty!
Dziś jeszcze rano wino święcone,
Przez Boga w Bożą krew przemienione,
Pił zeń Chrześcjanin, by z duchem czystym,
Wystąpić na bój z wrogiem wieczystym,
I go pokonać, lub poledz z chwałą.
Kilka kropelek jeszcze zostało.
Dalej, girlandą lśniącą, płonęło,
Lamp szczéro - złotych dwanaście, — dzieło

Dawniejszych arcy - mistrzów roboty,
Nim minął wielkich twórców cykl złoty.
Zdobycz ostatnia, ale szacowna,
Jakiej niewiele, gdziebądź, dorówna.

XXXIII.

Podchodzą bliżej — już pierwszy z rzędu,
Nie mogąc swego cofnąć rozpędu,
Ręką po lampę sięga niegodnie.
Ale Minotti spuszcza pochodnię,
I nią zapala niteczkę z prochu,
Podsypanego tajnie do lochu.
Wybuch piekielny! — Wieże, sklepienie,
Ołtarze, skarbiec, grobów kamienie,
Turcy, Chrześcjanie, żyjący, trupy,
Łupy niezdarte, i zdarte łupy,
Wszystko to, z trzaskiem piorunnym, społem,
Wylata z prysłym w gruzy kościołem.
Huczy powietrze groźnym łoskotem,
W mieście się gmachy kładą pokotem,
Korynt w zwaliskach, szańce runęły,
Fale na pełnią morza cofnęły,
Góry, jak podczas trzęsienia ziemi,
Kołyszą, zda się, szczyty ostremi,
Tysiąc przedmiotów porwanych w drzazgi,
Z tysiącem innych, zbitych na miazgi,

W obłokach dymu, w wirze płomieni,
Pędzi ku niebu, niebo czerwieni;
Wszystkie szkarady te oznajmiły,
Że się zapasy wreszcie skończyły,
Na tém wybrzeżu, gdzie z taką siłą,
Nieszczęście tak się długo srożyło.
Ciała żyjące i nieżyjące,
Wzleciały, niby race płonące,
A gdy opadły już ich kawały,
Nikt nie był wielki, nikt nie był mały,
Wszyscy jednacy; tak ich zwęglone
Członki, płomieniem były zgryzione.
Zaspy popiołów, niby ulewa,
Czerniły doły, góry i drzewa.
Niektóre ciała spadły w zatokę,
W niéj roztaczając koło szerokie,
Inne zlatując na międzymorze,
Nie tak ruchome znalazły łoże.
Gdzież tu Chrześcjanie? gdzie Ottomanie?
Gdzie oni? — Na to smutne pytanie,
Niech, ich ujrzawszy, matki powiedzą,
Jeźli się same o tém dowiedzą.
Gdy dzieci niegdyś w kolébkach spały,
A one do nich się uśmiéchały,
Nie przeczuwały, że połamane
Członki ich, będą tak poszarpane,

Że z obecnego synków ich ciałka,
Nie poznałyby ani kawałka.
W kształtach, w obliczu, śladu żadnego,
Nie odnalazłyby człowieczego,
Tak wszystkie kości pogruchotane.
Na brzegu belki poroztrząsane
Palą się; — w ziemię wstrzęgły kamienie,
Przerażające wkrąg spustoszenie!

Co usłyszało huk ten szalony,
Wszystko to pierzchło na wszystkie strony.
Ptaki z przestrachu z lasów uciekły,
Wilki się żeru trupów wyrzekły,
Wielbłąd przerażon, odbiegł strażnika,
Wół, łamiąc jarzmo, co tchu umyka.
Rumak ku miastu więcéj zbliżony,
Porwał popręgi, trwogą pędzony,
Żeby ohydniéj w bagnach skrzeczały,
Szakale smutniéj zaskowyczały [12]),
Jęcząc jak dziécię kwilące rzewnie,
Lub pies smagany przez pana gniewnie.
Lisy szczekały po gór pieczarach,
Echo wybuchu grzmiało po jarach.
Najeżon pióry orzeł potężny,
Roztoczył, zdumion, lot wielkokrężny,

I widząc w dole zgęszczoną chmurę,
Która się coraz podnosząc w górę,
Kłębami dymu go obwijała,
Jakby go w kłębach tych wędzić miała,
Rozmachem skrzydeł wznosząc się chyżéj,
Wzbijał się wyżéj, wyżéj, i wyżéj!
Tak Korynt, niegdyś gród znamienity,
Runął — przez Turków szturmem zdobyty.

PRZYPISY.

[1]) W jednéj ze swych wycieczek morskich, Lord Byron mało nie utonął na okręcie tureckim, przez głupotę Kapitana i załogi.

Posłuchajmy, jak sam o tém opowiada:

„Fletcher, (kamerdyner jego), narzekał, Grecy Wszystkich Świętych wzywali, Muzułmanie Allaha. Gdy Kapitan, becząc jak dziecko, uciekł pod pomost, usiłowałem, jak mogłem, pocieszyć Fletchera, lecz widząc, że go nie poprawię, obwinąwszy się w narzutkę mą Albańską, położyłem się, czekając śmierci.“

Lord Hobhouse tak o zimnéj krwi poety mówi:

„Widząc, że dla ułomności swéj, nie mógł się na nic przydać, w wypadku tym, rzeczywiście, nader groźnym, po kilku żarcikach z paniki swego sługi, nietylko, przykrywszy się, położył się, jak mówi, lecz znaleźliśmy go głęboko uśpionego, gdy burza przeszła.“

[2]) Na samo Boże-Narodzenie 1815 roku, Lord Byron pisał do *P. Murraya*, (wydawcy swego), posyłając mu poemat:

„Masz wiérsz sklecony świéżo, przeznaczony na

Wstęp do *Oblężenia Koryntu.* Zapomniałem o nim poprzednio, i sam nie wiém, czy nie lepiéjby go odrzucić. Twoja to rzecz i synodu twego zawyrokować.“

[3]) *Oblężenie Koryntu*, napisane w 1815 roku, wyszło 1816, 16 Stycznia. Murray posłał mu za rękopis ten i *Parizinę*, 1000 funtów szterlingów, na co mu tak Lord odpowiedział:

„Przeceniasz towar zbyt szczodrze. Nagroda przechodzi o wiele wartość obu tych poemacików. Nie mogę jéj przyjąć, nie wezmę. Daję ci je bez niczego, jeżli raczysz dołączyć je do tomów już gotowych. Nie chcę, byś je ogłaszał oddzielnie. Nie zdobyłbym sobie trochę rozgłosu, zasłużonego lub nie, który winienem czytelników, ramotami, dalekiémi od tego, czém winne być w mém pojęciu. A jednak można je przyczepić, jako skromniutkie fragmenta, do czegoś lepszego. Odsyłam ci więc bilet rozdarty, z obawy wypadku w drodze, i bardzo proszę, nie wiédź mię więcéj na pokusę, nie. Bądź pewien, że jeżli nie kłaniam się złotemu bałwanowi, powszechnie tak czczonemu, to wcale nie przez dumę, ale co prawda, to prawda.“

[4]) *Giaur*, *Korsarz*, *Narzeczona z Abydos*, *Lora*, *Oblężenie Koryntu*, następowały po sobie z niepojętą szybkością, z takim zapałem je przyjęto.

„Prócz piękności wewnętrznych ich, poemata te, mówi Sir Walter-Scott, przesiąka jakiś urok klimatu romantycznego, pod który nas przenoszą, i ubiorów wschodnich, olśniewających tak i tak dokładnych. Grecję, kolébkę poezji, którą znamy, dzięki studjom naszéj młodości, przedstawiono nam w zwaliskach, jęczącą

z bolu. Porywające jéj krajobrazy, poświęcone bogom, którzy, acz zdetronizowani z Olimpu, nie uroniły przecież poetycznego czaru, widzimy jak na dłoni w opisach Byrona. A potém wysoka ta moralność wynikła z porównania starożytnéj Grecji ze spółczesną; filozofów i bohaterów, zamieszkujących ten piękny kraj niegdyś, z potomkami ich podległémi Scytom, lub kryjącémi w niedostępnych ustroniach klasycznych gór ich, swobodę dziką i zawisłą. Zwrotów stylu wschodniego, tak harmonijnego, który nawet śmiesznostki powieści tych wschodnich, powleka jakimś wdziękiem, wszystko to podnosi piękności, które mogłyby się obéjść bez dodatków tych nawet, tak ponętnych. Potężne wrażenie, wywołane rodzajem tym poezji, utwierdza mię w przekonaniu, w wiarę, w mą zasadę, któréj nikt nie zaprzeczy, a któréj nikt prawie nie zastosowywuje, że: każdy autor winien, na wzór Byrona, określać przedewszystkiem, jasno, wyraźnie, widownią wypadków, osobę i przedmiot, który przedstawia czytelnikowi."

5) Środek oskarżania, używany niegdyś w Wenecji. Był to rodzaj skrzyneczki, w któréj bezimienne składano donosy.

6) Sławny *Ali Kumurdzi*, ulubieniec trzech Sułtanów, Wielki Wezyr *Achmeta III.* Wygnał on w jednéj wojnie Wenecjan z Peloponezu. Lecz w rok późniéj ciężko był ranny, walcząc z Niemcami pod Peterwarodinem, w Węgrzech.

Kumurdzi nazajutrz z ran tych umarł. Ostatnim, przedśmiertnym rozkazem jego, ścięto Generała *Bru-*

nera, i kilku oficerów. „Czemuż nie mogę poczęstować tak wszystkich Chrześcjan?“ — wołał konając. Wykrzyknik godzien *Kaliguli*. Nic nie dorównywało pysze jego; gdy powiedziano mu, że *Xiąże Eugenjusz* idzie przeciw niemu, że to wódz wielki; „tem lepiéj! — zawołał — podniesie jeszcze mą chwałę!“

[7]) *Lancjotto*, imię Alpa przed jego apostazją.

[8]) *Morze-Śródziemne* niema prawie przepływu, ani odpływu.

[9]) Widziałem zupełnie to samo pod murami Seraju w Konstantynopolu, w wydrążeniu skały pod Bosforem. Lord Hobhouse także o tém wspomina. Były to ciała krnąbrnych Janczarów.

[10]) Długiéj téj wstęgi włosów nigdy nie ucinają. W przekonaniu Mahometan nią Prorok przeniesie ich do Raju.

[11]) Sztandarem Baszy jest ogon koński, przywiązany do dzidy; buńczuk.

[12]) Możem nadużył swobody poetycznéj, przenosząc szakale z Azji do Grecji, gdzie, wyznaję, żadnego z nich ani słyszałem, ani widziałem nigdy. W zwaliskach jednak Efezu, spotykałem ich tysiącami. Lubią one gruzy starych gmachów; gromadami włóczą się za wojskiem *.

---

* *H. Guthe* twierdzi, że szakal i dziś jeszcze pojawia się w Morei.

(Przyp. Tłómacza).

KLĄTWA MINERWY.

POEMAT

LORDA BYRONA.

Ślicznych 56 wstępnych wiérszy do tego poematu, są pióra *A. E. Odyńca.* Znajdują się one na czele 111 pieśni *Korsarza.*

Pan Edward tak o nich mówi w przypisach do téjże Pieśni 111.

„Cała strofa téj pieśni pod Nr 1, jest tu może nie wiedzieć poco, i należała do innego poematu, nieogłoszonego, choć drukowanego, a była napisaną na miéjscu, wiosną, 1811 roku. Czytelnik więc, ja sam nie wiém dlaczego, musi przebaczyć, jeśli może, że ją tutaj znajduje“.

Jest ona we wszystkich wydaniach angielskich, jak i francuskich, jakie widziałem, w *Korsarzu.*

Tłómacz.

Wiérsze te, których jest 54, w oryginale mym, wydanym w *Frankfurcie nad Menem,* w 1829 r., zaczynają poemat *Klątwa Minerwy,* jak i w przekładach francuskich, które mam u siebie: *Amedego Pichot,* i *Benjamina Laroche;* jeden tylko *Ludwik Barré* je opuścił, drukując raz w *Korsarzu,* w całkowitym także przekładzie swym wszystkich dzieł Byrona.

„Wyniosła ta filippika—twierdzi *Benjamin Laroche*—

w przypisach swych do *Klątwy Minerwy*, przeciw *Lordowi Elgin*, którego zbiory marmurów ateńskich nabyła Anglja, w 1816 r., za 150,000 dukatów, napisana w Atenach, w Marcu, 1811 r., miała wyjść razem ze *Wspomnieniami o Horacym*, lecz również jak i tę satyrę nie ogłosił autor, z powodów łatwo pojętych. Drukowano ją po raz pierwszy dopiero w 1828 r. Zapewne nikogo bynajmniej nie dziwi, że potężnie Byrona wzruszył i zasmucił wielce widok *Parthenonu* tak złupieżonego; lecz może wolno mi dodać zarazem, iż jeśliby te nieoszacowane zabytki zostały w Atenach, przepadłyby niewątpliwie w burzliwych przewrotach, których miasto to tylokrotną było widownią; gdy tymczasem obecność ich w Anglii, gdzie wszyscy mogą je ze zdumieniem oglądać, wywarła już niezmierny wpływ na sztuki piękne. Alluzye polityczne w poemacie tym nie potrzebują szerokiego wykładu. Są może jeszcze pewne ustępy, któreby autor wymazał nieodmiennie, po głębszej rozwadze, lecz które w całkowitym ich składzie, przedstawiają zbyt jędrnie satyryczną werwę Lorda, aby mogły być usunięte z zupełnego wydania pism jego".

KLĄTWA MINERWY.

— Pallas te hoc vulnere, Pallas
Immolat, et poenam scelerato ex sanguine sumit.
Aeneid. Lib. XII.

„Zwolna — piękniéjsze niż w dziennéj kolei,
Zniża się słońce ze wzgórza Morei.
Nie w mgle, jak indziéj, blade, bez promieni,
Lecz jak ognisko żyjących płomieni.
Po śpiącéj głębi smugiem złota ciska,
Wre, zda się, woda, gdy z drżeniem połyska.
Nad wyspą Hydry, nad Eginy czołem,
Bóg wesołości, spojrzeniem wesołém,
Po raz ostatni luby kraj swój darzy,
Choć w nim już dawnych nie widzi ołtarzy.
Słupem z gór wierzchu cień zstępując siny,
Port niepodbitéj zaległ Salaminy.
Przez głąb wąwozów we zwierciadłach fali,
Krwawą purpurą horyzont się pali.

Gdy na gór szczycie, jak złota korona,
Lśni jeszcze słońca jasność zawieszona;
Nim wreszcie blaski zagarnąwszy całe,
Utonie do snu za Delficką skałę.

„Takiż był zachód dnia, w którym, przed wieki,
Najmędrszy z Greków miał zawrzéć powieki?
Jak wtedy jego uczniowie płaczący,
Drżeli o każdy promień konający,
Gdy jak to słońce, z niém razem, przed niémi,
Mądrość ich mistrza zajść miała na ziemi [1]).
Jeszcze nie! — jeszcze — słońce zachód zwleka,
Chwila rozstania jeszcze jest daleka!
Lecz słońce patrząc w konające oczy,
Blask swój przed niémi i swe barwy mroczy,
Żałobę, zda się, po kraju rozlewać,
Gdzie dotąd Febus nie umiał się gniewać.
Lecz nim Cytery zakryła go skała,
Puhar stał próżny — duch uleciał z ciała.
Duch, co dla Prawdy, śmierć i trwogę przemógł,
I żył, i umarł — jak nikt drugi nie mógł.

„Lecz patrz! milcząca z za Hymetu szczytów [2]),
Wzbija się nocnych Królowa błękitów,
Ni mgła, ni obłok, zapowiednik burzy,
Nie ćmi jéj kształtu, ani się nie chmurzy.

Owdzie, śród ruin, pełnym wzrostem dumna,
Blaskiem jéj dawna bieleje kolumna;
Tam z okrągłego minaretów wierzchu,
Młody jéj obraz połyskuje w zmierzchu,
Gajem oliwne rozsadzone drzewa,
Gdzie skromny Cefiz wązki nurt przelewa,
Między cyprysy gronami stojące.
Letnich kiosków wieżyczki błyszczące [3]),
I owa palma, samotna stróżyni,
Przy Tezeusza zwalonéj świątyni,
Wszystkie koleją przynęcają oczy; —
Ślepą ma duszę, kto idąc nie zoczy.

„Wojną z wiatrami Neptun zmordowany,
Do snu Egejskie ucisza bałwany,
W pręgach jasności złota i błękitu,
Leżą zwierciadłem u stóp ścian granitu.
Prócz gdzie cień wysep czerni się na wodzie,
Wszystko się w nocnéj uśmiécha pogodzie!“ *)

Z pysznéj świątyni Pallady, ruiny,
Przepatrywałem ogrom morza siny.
Sam, bez przyjaciół, na tym cudnym brzegu,
Który przed wieki, w arcydzieł szeregu

---

*) Dotąd *A. E. Odyniec.*

Swych mistrzów, jak i bohaterskich czynów
Wodzów swych, tyle uzbierał wawrzynów,
Sławionych tylko dziś w żałośnéj pieśni,
Rozmarzonego poety boleśnie.
Ilekroć spojrzę na ten gmach zdaleka,
Uczczon przez Bogów, złupion przez człowieka,
Obecność znika, a w całym uroku,
Wskrzeszona przeszłość ujawnia się oku,
I znowu Grecja, ten trup zmartwychwstały,
Promieni w blaskach niedościgłéj chwały.

Czas płynął smutno, a księżyc dwurogi,
Ubiegł już dawno połowę swéj drogi.
Jam nieznużony, w tak późnéj godzinie,
Stęsknion, błąkałem się wciąż po ruinie
Święconéj Bogom, a głównie Palladzie,
Nim ostatecznéj ulegnie zagładzie.
Światło Hekaty złamane u góry
Gzymsem kolumny, — srebrzyło marmury,
Po których krok mój tętniąc obojętnie,
Wstrząsał me serce echem grobów smętnie.

Patrząc zaduman na te Greckie łomy,
Chciałem odtworzyć z nich obraz widomy,
Gdy nagle postać olbrzymia w pomroku,
Coraz wyraźniéj rysuje się oku,

Podchodzi ku mnie, prawie ją dotykam,
I w Parthenonie Palladę spotykam.

Tak! to Minerwa! — lecz nie taką znano,
Gdy ją w Dardanji zbrojną widywano!
Jak niepodobna do Minerwy owéj,
Którą ze złota i kości słoniowéj,
Jakby z marmuru, lub innego głazu,
Wyrzeźbił Wielki Fidjasz, z jéj rozkazu.
Groźba z jéj czoła znikła — a Gorgona
Z okropnéj tarczy jéj precz wyrzucona.
Hełm jéj zgryziony rdzą, strzaskana dzida,
Na postrach dzieci nawet się nie przyda.
Różczka oliwna, jakby dawno ścięta,
Uwiędła, uschła, zwisa z dłoni zmięta.
A ócz, co takie szafiry barwiły,
Że i w Olimpie najpiękniéjsze były,
Teraz błękity ich niedorównane,
Lśnią olimpijską jakąś łzą zalane.
Sowa nad hełmem krążąc ociężale,
Jękiem dzieliła ciężkie pani żale.

— „Pielgrzymie! — szkarłat twarzy twéj i czoła,
Świadczą wyraźnie, żeś Anglik — zawoła.
Nazwa przesławna niegdyś — bo narody,
Zazdrościły mu, potęgi, swobody.

Dziś pogardzony w oczach godnych ludzi,
Jako i moich — wstręty tylko budzi.
Chcesz wiedzieć, co ten wstręt, wzgarda ta znaczą?
Spojrz na te ściany, to ci wytłómaczą.
Tu, mimo wojen, mimo pogorzeli,
Patrzałam na śmierć łotrów, jak ginęli.
Uszłam przed Turków i Gotów łupieżą [4]),
Ale ich Anglik prześcignął grabieżą [5]).
Spojrz na świątynię moją tak obdartą!
Powiedz, co jeszczeby ztąd wydrzeć warto?
To, co tam widzisz, Cekrops przysłał w darze,
Co tu — Perykles złożył mi w ofiarze [6]).
Tamto zostawił Adrjan sztuce w spadku,
By, już chylącą się, dźwignąć z upadku.
Co winnam innym, innym winnam jeszcze,
Z wdzięcznością dla nich, wszem wobec obwieszczę,
I niech się na mnie nikt za to nie żali,
Wiedz więc, że gwałtu tego dokonali:
Alaryk, Elgin! — By go wszędy znano,
Kościół mój, jego imieniem przezwano.
Hańby imieniem, które na świat cały [7]),
Roztrąbi rozgłos zbezecnionéj chwały!
Masz jego czyny; imię jego w górze,
Na wieczną pamięć ryto na marmurze.
Cześć więc jednaka, jak Hunnów królowi,
Tak i godnemu go, Piktów Parowi! [8])

Pierwszy choć mieczem o łup się rosprawił,
Lecz drugi ukradł, co pierwszy zostawił.
Gdy syt ten odszedł, zdobyczą odęty,
Wilk po nim dogryzł niedojadłe szczęty,
Po wilku szakal podsuwa się zdradnie,
Dożerać resztę, co mu w paszczę wpadnie.
Lecz sprawiedliwość za mną się ujęła,
I ciężka chłosta Bogów go dotknęła.
Jakiż zysk jego? — oblicz jego straty;
Rabując gmach ten, niegdyś tak bogaty?
Obok imienia, które się tak wsławi,
I inne jeszcze kościół mój plugawi.
Księżyc promykiem nigdy tu nie strzeli,
Krzywdy Pallady znalazły mścicieli,
Ale najmiléj mi, że Wenus w niebie,
Pomst tych połowę przyjęła na siebie“ [9]).

Umilkła — wówczas odrzekłem nieśmiało,
Bo straszną zemstą oko jéj pałało:

— „Córo Jowisza! — Wielkiéj Anglji syny,
Potępią, jak ja, niegodne tak czyny.
O! nie obwijaj nas z nim jednym splotem!
Rabuś twój nie jest ziomkiem mym, lecz Szkotem.
Chcesz wiedzieć, czém się różnim? — z wieży [szczytu,
Widać Beocję na krańcach zenitu.

Beocją naszą, Kaledonja — ale,
Bóstwo Mądrości nieznane tam wcale.
Ziemia to dzika; ziarno tam rzucone,
Pleni się tylko w płody poronione.
Oset, co na niéj bujnie się rozwija,
Wiernie mieszkańców jéj obraz odbija.
Kraj to wykrętów, wiecznych mgieł, żądz spetnych,
Niepojmujący popędów szlachetnych.
Wicher wiejący z ich gór i błock chłodem,
Wsiąka im w mózgi i mrozi je lodem.
A gdy rozmarzną się, i raz odtają,
Natychmiast w krąg się falą rozlewają,
Wstrętną jak grunt ich, zimną jak ich śniegi,
Na im podobnych półgłówków szeregi.
I wnet pomysły, wedle nich, szczęśliwe,
Rodzą w nich żądze jakieś zabiegliwe,
Idą na Zachód, Wschód, Północ mijając,
Wszędy na celu zdobycz jeno mając.
Ta to, jedynie, zacna tak, nadzieja,
Przygnała niegdyś tu Pikta złodzieja.
Lecz jak w Beocji — z głupiéj tak krainy,
Wystrzelił Wielki Pindar, jak na drwiny,
I w Kaledonji można znaleść przecie,
Pindarów, chlubnie rozgłośnych na świecie.
Oby nieliczny zastęp jéj genjuszy,
Potężnych sercem, jak i siłą duszy,

Równając chwałą mężom innych ludów,
Zdołał — otrząsłszy się z ojczystych brudów,
Jak ów dziesiątek wybrańców, zhańbiony
Gród swój — ocalić naród ten spodlony!“

— „Posłuchaj jeszcze chwilkę mnie, człowiecze.
Błękitno-okie Bóstwo do mnie rzecze.
A czem upadła tak, wyrok Pallady,
Nazawsze mądrej wam odmawia rady.
Taka ma zemsta! — a co ona znaczy,
To ci dopowie czas i wytłómaczy.

„Naprzód mej klątwy spadnie ciężkie brzemię,
Na łotra tego, jak i jego plemię.
Niech ono w głupiej umysłu omroczy,
Jak protoplasta jego, wiecznie kroczy.
Jeśli z nich który świetniej się rozwinie,
To bękart! — krew w nim szlachetniejsza płynie.
Niech Elgin chwalbą gawroniego tłumu
Nadęty, nie dba na wzgardę rozumu.
A tłum ten coraz, nie bacząc na względy,
W nim roznamiętnia godne tak popędy.
Niechaj frymarcząc — sprytem mu wrodzonym,
Zdziera kraj, darząc go, skarbem złupionym.
Gdy Webst — najgorszy z partaczy malarzy [10]),
Jakich się spotkać w Europie zdarzy,

Najlepszy w Anglji, śród ciągłéj perory,
Drgającą dłonią imając te wzory,
Uznał, że wobec dzieł tych — (tak się zdumiał) —
I w kilkadziesiąt lat nicby nie umiał!
Niech kułaczników wszystkich zewsząd zwiodą,
Dla porównania sztuki — z ich przyrodą.
Gdy gbury wiejskie patrzą osłupiali,
Na *sklep kamienny* rozłożony w sali [11]),
Gdy i z miast ciżba głupców prze się w gości,
Do kamiennego składu jegomości,
Gdy tysiąc dziewic społem z niémi wkracza,
I wnet posągi olbrzymów otacza,
A roztargnionym niby wodząc wzrokiem,
Szepcą — olśnione członków ich widokiem,
„Ach! co to *było*, a co *jest*, w téj chwili,
Jakże ci Grecy niegdyś śliczni byli!“
I mierząc ludzi takiego ogromu,
Do zgromadzonych Pigmejów poziomu,
Zazdroszczą szczérze, w zachwyceniu żeńskiém,
Takich kochanków Laisom Ateńskiém.
Lecz niech się żadna z nich na nic nie sroży;
Któż Sir Harrego w Herkula przetworzy?
Może widz jaki między tym natłokiem,
Powiódłszy po tym kramie tęsknem okiem,
Wzruszon takiemi i tylu cudami,
W wzniosłym zachwycie nad arcydziełami,

Wielbiąc przedmioty, raczy się uskarżyć
Na rozbójnika, co śmiał je znieważyć!
O! niech nienawiść ścigając go śladem,
Zatruje życie mu śmiertelnym jadem,
A po skonaniu, oby jego pyły,
Nie miały nigdy spokoju mogiły!
Niech jego imię w sromoty dziedzinie,
Jak podpalacza Efezu zasłynie!
Herostrat! — Elgin! — na ich pamięć wstrętną,
Wieki wycisną obelżywe piętno,
Jednakim stęplem znacząc sojusz bratni,
W którym pierwszego prześcignął ostatni.

„Niechże więc stoi, jak posąg widomie,
Na piedestalu wzgardy nieruchomie!
Lecz nie on jeden padnie pod mym ciosem.
Bo i na Anglję, z tak wielkim rozgłosem,
Cisnę pioruny, które z całą złością
Bijąc w twą macierz, wstrząsną jej przyszłością.
On tylko poszedł wydeptanym śladem
Ojczyzny swojej, i za jej przykładem.
Patrz na te łuny, co nad Kopenhagą
Pozapalała, z wszelkich praw zniewagą
Napaść — żaglów ją otoczywszy wieńcem,
Na bój zdradziecki z dawnym sprzymierzeńcem.

Jam nie sławiła zbrodni tak szkaradnych,
Jam nie gwałciła zobowiązań żadnych.
Stroniłam zawsze od narad niegodnych,
Popychających do wojen wyrodnych.
I zostawiając wam tarczę z Gorgoną,
Zamieniającą w głaz ludzkość strwożoną,
Skazałam Albjon na odosobnienie
Śród niéj straszliwe, i jéj potępienie!

„Spojrz na Wschód! — gdzie lud ze smagłém
[obliczem,
Szamocąc waszém państwem rozbójniczém,
Podnosi głowę groźną, krwią zbroczony,
Zemstą indyjskiéj Nemezy natchniony.
Tam Bramaputry nurty sposoczone,
Wymiatają wam długi niespłacone,
I wszystkie krzywdy i wszystkie przewiny.
Gińcie więc! — gińcie! — za tak śliczne czyny!
Nie na to dałam wam tyle swobody,
By ciemiężyliście inne narody!

„Spojrz na Hiszpanję! — ściska ona dłonie,
Na które całą nienawiścią zionie.
Ściska je jednak — acz śród klątwy gromów,
Precz was wygania z progów swoich domów.
Świadkiem Barossa! a więc niech ci powié,
Jacy to byli tam bohatérowie.

Chociaż z Luzytan nielicznych szeregów,
Pierzchła niekiedy w boju garstka zbiegów.
Pierwszy to raz Gal, gdy go głód pokonał,
Z pobojowiska odwrotu dokonał.
Ale Palladaż to was nauczyła,
Aby porażka jedna, przeważyła,
Rumieniącego wiekuiście sromu,
Trzech nieskończonych olimpjad pogromu? *)

„Spojrz na kraj wreszcie! — o! tego widoku,
Nader ochoczo nie nastręczasz oku.
Cóż bo tam widzieć? — zachmurzone lica,
Zimne i nudne, jak wasza stolica.
Napróżno orgja hasa tam niekiedy,
Śród wygłodniałéj złodziei czeredy.
Wszyscy coś ronią — ubodzy, bogaci,
Złupieżon sknera, także nic nie straci.
„Błogosławiony bilecik bankowy!“
Któż cię wychwali godnémi cię słowy?
Jak mówi Pope: „lekko on ulata,
Niosąc zgorszenie w najdalszy kąt świata“.
A jednak nieraz rządzącym Pallada,
Gorzką była, prawdę wypowiada.
Lecz nie słuchali ni ludzi, ni Bogów,
Nie chcąc kochanych pozbyć się nałogów.

---

*) Three long olympiads of defeat?

Jeden z nich tylko widząc, że kraj ginie,
Prosił zapóźno o radę Boginię,
Mając Mentorem jakiegoś bałwana,
Wierząc weń, przed nim uginał kolana.
Chociaż rozumny ten tak Mentor jego,
Nigdy z Minerwą nie miał nic wspólnego.
Któż to na czele Ministerstwa stoi?
Nieuk — co więcéj, coraz w głupstwie broi.
Jak niegdyś naród żabi skrzecząc w wodzie,
Przysiągł na wierność żab Monarsze *Kłodzie*,
Dziś, niby Egipt, Anglja, tak wyniosła,
Nazwała Bogiem swym, *Cébulę-Osła*.
A skarby, co tak niegdyś podziwiano!
Spytaj kramarzy, gdzie je pogrzebano.
Najemny żołdak, do boju ochoczy,
Już się pod wasze sztandary nie tłoczy.
Patrząc na składy zwalone na brzegu,
W nieprzeliczonym kutych pak szeregu,
Stroskany kupiec smutnie głową kiwa,
Że po nie żaden okręt nie podpływa.
Towary ręką nietknięte niczyją,
Z za mórz wrócone, gdzieś po kątach gniją.
Głodny rzemieślnik gruchocąc naczynie,
Czeka z rozpaczą, co się ztąd wywinie.
Czeka na hasło, kiedy się wynurzy
Z klęsk takich piorun, — zapowiednik burzy.

Gdzie mąż w Senacie? — radabym obaczyć —
Którego głowa mogłaby coś znaczyć!
W obradach, gdzie tak słowo panowało,
Kto dziś przemówi i mądrze, i śmiało?
Stronnictwa nawet powagę straciły
W kraju, gdzie niegdyś tak gospodarzyły.
A jednak śliczna wyspa, wam siostrzana,
Groźnémi nurty sekciarzy zalana,
Którzy, gdy coraz się roznamiętniają,
Koleją, łuny pożóg zapalają.

„Stało się! — a że me rady wzgardzone,
Furje pochwycą berło me złożone,
I potęgując rozszalałe złości,
Dumnego kraju rozszarpią wnętrzności.
Lecz jeszcze jedno, straszne nieskończenie,
Przebywać musisz Angljo przesilenie.
Poczém Gal piérwszy rozpacznie zapłacze,
A po nim tobie pęta i haracze!
Przepych wojennych przyborów, na które,
Patrzy Bellony oblicze ponure,
Dźwięk trąb, blask broni, mundur świetnie lśniący,
Huk bębnów, wroga do boju budzący,
Bohatér, który na głos swéj ojczyzny,
Sieje na oślep, śmierć, pożary, blizny;
Chwała, co z jękiem, gdy walecznik pada,

Na grobie jego natychmiast usiada.
Wszystko co w młode serce tak się wraża,
Za rozmarzone, sobie wyobraża,
Drażniąc się ciągle takiemi ponęty,
Jaki to w walce tej tkwi czar zaklęty!
Lecz ona bladym laurem wynagradza,
Gdy ci w zapasach tylko śmierć sprowadza.
Wiedz, że nie w bitwach to mord rozkoszuje.
On obojętnie je nader pojmuje.
Lecz gdy go uczcisz Zwycięzcy nazwiskiem,
Gdy zapanuje nad pobojowiskiem,
Mniejsza, że zlanem poległych posoką,
Wówczas mu szczęściem rozjaśnia się oko,
I płyną słodkich uniesień godziny.
A wiesz ty, jakie wówczas jego czyny?
Lud w pień wycięty, dziewice zgwałcone,
Wsie zrabowane, a później spalone,
Zbrodzone żniwo. — Masz narodów dolę,
Którym zwycięzca narzuca niewolę!
Z jakimż przestrachem waszych miast mieszkańce
Ujrzą płonące grody jak kagańce,
Które gdy krwawą łuną się rozpalą,
Zaczerwienieją nad Tamizy falą.
Lecz się nie zżymaj Albionie złością!
Wszak ta pochodnia twoją jest własnością.
Tyś nią od Renu do Tagu obszarów,

Rozrzucał krocie podobnych pożarów.
Gdy te nieszczęścia na kraj twój uderzą,
Im to, czy tobie, one przynależą?
Krew za krew! — takie prawo ziemi, nieba,
Dług krwi — daremnie! — krwią umorzyć trzeba.
Kto pierwszy wojen pożogi rozżarza,
Na ich następstwa niech się nie uskarża [12]).

PRZYPISY.

[1]) *Sokrates* wypił cykutę nieco przed zachodem słońca, (chwila skonu na śmierć skazanych), mimo próśb uczniów, błagających go, aby zaczekał przynajmniej na urzędową godzinę.

[2]) Zmierzch w Grecji krótszy, niż w naszym klimacie, dnie także krótsze w lecie, w zimie dłuższe.

[3]) Kiosk, pawilon letni w Turcji; palma rośnie za obrębem obecnych Aten, przy świątyni *Tezeusza*. Nurt *Cefizu* rzeczywiście nikły; w *Illisie* wody prawie niema.

[4]) Na zewnętrznym murze świątyni *Minerwy* wyryto następny napis:

QUOD NON FECERUNT GOTI,
FECERUNT SCOTI.

[5]) Rękopis mówi: „O! Ateny! ledwie wymknęłyście się przed Turkami i Gotami, piekło przysłało ci Szkota gorszego od nich!“

[6]) *Cekropsa*, *Peryklesa*, dary.

[7]) Rękopis mówi:

Aspice quos Pallas Scoto concedit honores;
Infra stat nomen, — facta supraque vide.

[8]) *Piktowie*, dzisiejsi Szkoci.

[9]) Imiona Lorda i osoby, którą nazywano wówczas *Lady Elgin*, wyryte bardzo wyraźnie na *Parthenonie*. Tuż przy tym napisie walają się odłamy rzeźby rozbitéj w szczęty, gdy odpiłowywano ją od muru.

[10]) *Webst* artysta, obejrzawszy zbiór Elgina, wyznał, że wobec arcydzieł tych, był tylko uczniem.

[11]) Boxer *Crib* niezmiernie zdumiony oglądając po raz piérwszy pałac Lorda Elgina, zapytał: „czy to sklep marmurów?“ Nie mylił się; był to marmurów sklep, rzeczywiście.

[12]) Poemat ten zaczął i skończył Lord Byron w Atenach, w 1811 r.; nie drukował go za życia, o czém wspomniałem we wstępie. Wyszedł on po raz pierwszy w 1828 roku. Byron umarł w 1824, przeleżał więc od daty napisania go 17 lat w tece autora.

Parthenon, najwspanialsza świątynia w starożytnych Atenach, poświęcona *Minerwie*, *(Parthenos*, dziewica), objęta warownią *Akropolis*. Gmach marmurowy w stylu *Doryckim*, otoczony kolumnami; fryz zdobiły płaskorzeźby, przedstawiające walki z *Centaurami*. Zbudowana za *Pizystrata*, przez *Iktinosa* i *Kalikratesa*, zburzona przez Persów, odbudowana za *Peryklesa*. *Fidjasz* umieścił tu swoje arcydzieło, posąd *Minerwy* ze złota i kości słoniowéj. Parthenon przetrwał do 1676 r. Chrześcijanie zamienili go na kościół, Turcy na meczet. Zburzyli Wenecjanie 1687 r.,

podczas szturmu Aten. Dotąd istnieje 20 kolumn i nieco murów. Szczątki przechowuje *British-Muzeum* Londyńskie, i *Muzeum Luwru.*

(Encyklopedja Ogólna, Ungra, T. X.)

Tomasz Bruce, Hrabia Elgin and Kincardine, ur. 1766, um. 1841. Potomek rodu od *Roberta Bruce* (króla Szkockiego), początek swój wiodącego, Generał i dyplomata angielski. Spełniał ważne missje przy obcych dworach, najdłużéj w Konstantynopolu. Z zebranych i przywiezionych do Londynu dzieł starożytnéj sztuki Greckiéj, utworzył *Muzeum*, znane pod nazwą *Elgińskich Marmurów*, za co wyszydzał go L. Byron, w poemacie *Childe-Harold.*

(Enc. Ogól., Ungra, T. V.)

SZARY MNICH.

BALLADA

WALTER-SKOTTA.

PRZEDMOWA.

Jeśli ogłaszam balladę tę w połowie urwaną, napisaną przed wieloma laty, nie dla braku to niedostającego jéj zajęcia, chcę obudzić przynajmniéj, zawieszoną nagle, ciekawość. Przeciwnie, zamiarem moim było dokończyć tę powieść, jeżeli zadawalniałaby mnie pod każdym względem, lub ją zupełnie zarzucić. Ustępując jednak naleganiom moich przyjaciół, których sąd mógł być wypływem jedynie życzliwości dla mnie, umieszczam ją jako fragment w zbiorze innych prac mych obrobionych.

Podanie, na którém legenda ta oparta, odnosi się do gmachu wzniesionego w *Baronji Gilmerton*, w pobliżu *Laswadu*, w *Hrabstwie Mid-Lothianu*. Siedziba ta, zwana dziś *Gilmerton-Grange*, pierwiastkowo znaną była pod mianem *Burndalu*, spowodu tragicznego wypadku, który opowiem.

Baronja Gilmerton należała niegdyś do *Lorda Herona*, który prześliczną miał córkę. Dziewczynę tę uwiódł opat z *Newbattle*, bogatego klasztoru, położo-

nego nad brzegiem *South-Esku*, zajmywanego dziś przez *Markiza Lothian.* Heron dowiedział się o miłostkach córki, i zarazem, że niecne tak stosunki kochanków, ułatwiała mamka dziewicy, mieszkająca w Gilmerton-Grange, lub w Burndalu. Postanowił więc zemścić się nad niemi okrutnie, i nie powściągnęła go, ani domniemana świętość godności klerykalnéj, ani potężniejszy głos uczuć przyrodzonych.

Na dokonanie zamiaru tego, wybrał on noc burzliwą i ciemną, podczas któréj przedmioty, nieodzowne do zemsty, pościągawszy skrycie, podłożył ogień pod stosy wyschłych cierni i innych palnych materjałów, nagromadzonych wokoło domu, i zamienił w górę popiołu gmach społem z jego mieszkańcami.

Zachętę do ballady méj nastręczył mi ciekawy ustęp z życia *Aleksandra Pedena*, jednego z apostołów, błąkających się i prześladowanych *sekty Comeronjanów*, z czasów *Karola II* i jego następcy *Jakóba.* Prozelici mistrza tego przyznawali mu dary nadprzyrodzone, w co może i sam wierzył, bo ustronia dzikie, w których przebywali, i niebezpieczeństwa, na jakie wciąż się narażali, potęgowały jeszcze w umysłach tych sekciarzy, obłędy zabobonów, właściwych owéj epoce.

„W tym samym czasie prawie, Aleksander Peden, mówi jego biograf, miał prorokować w nocy w domie *Andrew Normanda*, w parafji *Allowaj*, w *Hrabstwie Ayr*, zamieszkałego. Przybywszy tam, wypoczął chwilkę, oparłszy się plecyma o fotel z zasłoniętą twarzą, gdy nagle odkrywając głowę, zawołał: „Jest

w domu tym ktoś, dla którego nie mam słów zbawienia“. I milknąc na chwilkę, dodał: „Dziwna! że duch ciemności nie chce wyjść ztąd, dozwalając nam w spokoju rozpocząć dzieło święte“. Wówczas kobiéta, zawsze źle bardzo widziana i uważana nawet za czarownicę, wstając odeszła“.

To przypomina mi, co mi *John Muirhead* opowiadał, że w epoce, gdy z Irlandji przybywszy do *Galloway*, odmawiał pacierze wieczorne, wykładając zarazem niektóre ustępy z Pisma Świętego, wszedł jakiś człowiek nader wstrętnego pozoru i usiadł przy drzwiach w sali. John Muirhead przerwawszy modły natychmiast, zawołał: „Ktoś skazany na męki wiekuiste, w téj chwili wszedł do domu. Niech wyjdzie coprędzéj i nie mitręży mię więcéj!“ Nieznajomy wyniósł się, John udał się za nim, lecz znikł gdzieś bez śladu.

Życie i wróżby Aleksandra Peden, ostatniego Pastora Ewangelickiego w Galloway. Część II, paragraf 26.

SZARY MNICH.

(Fragment.)

Papież obdarzon władzą odpuszczania
Grzechów najcięższych, najdzikszego łotra,
Miał — wznosząc modły korne od zarania —
Mszę uroczystą w dniu świętego Piotra.

Papieź miał sumę — lud pełen wesela
Klęcząc na płytach, w ekstatycznéj skrusze,
Słucha słów jego, czując, że odbiela
Świętością swoją, zbrukane ich dusze.

Tłum nieruchomy, w kolumnę ściśnięty,
Pochylon k'ziemi, w pobożnéj postawie,
Nakształt posągów, milczał jak zaklęty,
Śpiéw jeno Boży grzmiał w olbrzymiéj nawie.

Wtém Papież zadrżał niepojętą trwogą,
Dłonie zatrzęsły mu się — i znienacka,

Gdy usta słowa wymówić nie mogą,
Wypadł z rąk kielich, aż jękła posadzka.

„Czuję w przybytku tym tchnienie zbrodniarza,
Rzekł, lecz to zbrodzień tak ciężko występny,
Że niech Świątyni Pańskiéj nie znieważa,
Bo dlań, zaprawdę, odpust niedostępny.

„Przestępcy temu, Ojciec Święty woła,
Co świat zaraża swoją obecnością,
Nic nie pomogą modlitwy Kościoła,
Bo i on cofa się przed taką złością.

„Precz więc nieszczęsny! wynoś się! uciekaj!
Niech cię nie ściga ma klątwa zagłady;
Lecz nie przerywaj modłów, nie urzekaj
Ludu, widokiem tak strasznéj szkarady!“

Śród tłumu klęczał w spuszczonym kapturze,
W habicie, pielgrzym — jakież jego imię?
Odbył on bardzo odległe podróże,
Ale go nigdy nie widziano w Rzymie.

Przez dni czterdzieści i czterdzieści nocy,
Wracał milczący do swego narodu;
A gdy upadał z żalu i niemocy,
Gryzł twardy suchar, by nie skonać z głodu.

Nikt się z pątników tak szczérze, tak rzewnie,
Nie modlił w pysznéj Piotra bazylice;
A gdy go Ojciec Święty wygnał gniewnie,
Wyszedł, okropnie wykrzywiwszy lice.

I na wspomnienie ojczystego Klanu,
Szedł długo, długo nieszczęściem rozbity;
Aż ujrzał cudne wybrzeża *Lothianu*,
I błękitnawe wzgórz *Pentlandu* szczyty.

Przeklętą stopą stanąwszy w ustroni
Znanéj mu, widzi, chociaż oczy płaczą,
Te same zdroje, na téj saméj błoni,
I w dali gaje te same majaczą.

Wodzowie dłoń mu ściskają — wazale
Padają przed nim wszędy na kolana,
Bo nikt mu nigdy nie dorównał w chwale,
Ani gdzie znano dobrego tak pana.

Zawsze on w bojach bronił kraju dzielnie;
A nawet w rzezi nad brzegami Tillu,
Walcząc, swe imię wsławił nieśmiertelnie,
Gdzie najmężniéjszych poginęło tylu.

Jakże prześliczne te górskie drożyny,
Towarzyszące wciąż *Esku* strumieniom!

Ponad otchłanie pną się na wyżyny,
I niedostępne tak słońca promieniom.

Może poeta marzyć tam do syta,
I drżąca piękność śnić zdala od ludzi.
Pewno tam o nic nikt ich nie zapyta.
Ani czarownych zadum co rozłudzi.

Ścieżki te wiodą do pysznej dzielnicy,
Zkąd, gdy uderzą w róg, dźwięk jego płynie,
Aż do kryjówki Ducha, w okolicy
Leszczynowego lasku na dolinie.

Któż nie zna dąbrów *Mellvillu* bukowych?
Jakżeż cudownie *Roslin* tam wygląda,
Owa stolica *Saint-Clairów* dziejowych!
A jak *Hawthornden?* siedziba *Drummonda.*

A jednak pątnik wszystko to mijając,
Idzie wprost, aczby mógł oglądać zbliska;
Wprost idzie, na krok z drogi nie zbaczając,
Do pogorzeli *Burndalu* zamczyska.

Dzika miejscowość ta harmonizuje,
Z dzikszą stokrotnie rozpaczą pielgrzyma.
Mur przegorzały wproch się rozsypuje,
A dach zwęglony zaledwie się trzyma.

Był wieczór — Słońce wierzchołek *Cornethy*,
Złocąc, jak zwykle, gdy się do snu kładzie,
Poczerwieniło razem skał szkielety,
Na widnokręgu sterczące w niełazie.

Dzwony klasztorne dzwonią na Nieszpory,
Wtórząc hymnowi na cześć Matki Boskiéj.
Jęk ich rozlany na błonie, na bory,
Leje i w serce niewymowne troski.

Dźwięk pieśni gdy już do zwalin podchodził,
Ledwie schwytany w wieczornym podmuchu,
Wszystkie mu krwawe cierpienia odrodził,
Piekielną nutą przegrywając w uchu.

Lecz on, pogrążon w wspomnieniach głęboko,
I razu nawet, o ile się zdało,
Nie podniósł na to czarne zgliszcze oko,
Które się przed nim zarysowywało.

Nakoniec spojrzał, drgnął, westchnął! — w pół-
[cieniu,
Na — przez płomienie, żar, zgryzionym — murze,
Siedział ponury mnich w szarém odzieniu,
Kryjąc oblicze w spuszczonym kapturze.

— „Błogosław Boże ci!“ ksiądz doń zagada.
Zapewneś pielgrzym, zkądeś przywędrował?“

Lecz przybysz milczy, nic nie odpowiada,
Tak mu strach sine usta zakneblował.

„Idziesz ze Wschodu, czy Zachodu, panie?
Czy z Kompostelli słynącéj cudami?
Gdzie każdy pątnik, skoro się dostanie,
Szczodrze go darzą Świętych relikwjami“.

— „Nie byłem Ojcze w Kompostelli — ani
Relikwje Świętych dał mi świat daleki.
Mam tylko klątwę uroczystą w dani,
Którą mię w Rzymie przeklęto na wieki“.

— „Nie mów tak! nie mów! nieszczęsny piel-
[grzymie,
Raczéj uklęknij — i w głębokiéj wierze,
Skruszon, przedemną żalem, w Boże imię,
Śmiertelne grzéchy wyspowiadaj szczérze“.

— „Któż ty więc jesteś!? co słowy błogiémi,
Łagodząc boleść, pragniesz mię pocieszyć,
Gdy Wielki Klucznik nawet, nieba, ziemi,
On nawet, nie śmiał niegdyś mię rozgrzészyć“.

— „Kto jestem?... Jestem szary Mnich od-
[powié,
Ów, wiedz, którego z za morza wysłano,

Abym przebaczył zbrodnię potworowi,
Zbrodnię ohydną tak, tu dokonaną".

Więc pielgrzym ukląkł — i w okropnej męce,
Rozpoczął spowiedź, pochyliwszy skronie,
O które kapłan — wyciągając ręce,
Oparł, wycięte jakby z lodu dłonie.

. . . .

PRZYPISKI.

[1]) Zamek *Melville*, siedziba *Lorda Roberta Dundas*, cudnie położona nad *Eskem*, przy *Laswade.*

[2]) Rezydencja niegdyś starożytnego rodu *Saint-Clairów*, obecnie własność *Hrabi Rosslin.*

[3]) *Hawthornden*, mieszkanie poety *Drummonda.* Dom świéżo zbudowany okalają zwaliska zamku odwiecznego. Wzniesion on nad Eskem, najbardziéj malowniczą rzéką od źródła do morza z całéj Szkocji, nad straszliwą przepaścią, w któréj skałach wiją się kręte pieczary, kryjówki patryotów w czasach trwogi. Tam to gościł Drummond *Ben Johnsona,* przybyłego doń pieszo z *Londynu.*

GLENFINLAS.

Coronach Lorda Ronalda

BALLADA

WALTER-SCOTTA.

PRZEDMOWA.

Ballada ta na następném podaniu osnuta:

Dwóch łowców *Highlandzkich* nocowało w samotnéj *bathy*, (chacie), zajadając wesoło źwierzynę, i zakrapiając ją hojnie *whisky*. Jeden z nich zapragnął koniecznie dwóch dziewcząt dla ożywienia uczty. Ledwie to życzenie wyraził, dwie panienki w szatach zielonych, młodziutkie, cudnéj piękności, wleciały w pląsach do chaty śpiewając. Ów, co się tak odezwał, olśniony syreną, która doń chętnie przylgnęła, natychmiast z nią wyszedł. Towarzysz jego został, nie dowierzając ślicznéj czarodziéjce, i zaczął hymn do Matki Boskiéj, wtórząc mu na arfie. Nakoniec zaświtało i zwodnica znikła. Nie doczekawszy się przyjaciela, łowiec poszedł szukać go w lesie, i znalazł tylko kości. Pożarł ge Szatan, wciągnąwszy w zasadzkę. Miéjsce, na którém to się zdarzyło, nazwano odtąd *Glen*, *Doliną Dziéwcząt Zielonych.*

Glenfinlas jest to las w górach w *Perthschire.* Należał on poprzednio do dóbr państwa, a dziś jest własnością hrabi Moraya. Okolicę tę, przylegającą do

12*

powiatu *Balquidder* zamieszkiwali niegdyś *Mac-Gregorowie*. Na zachód lasu Glenfinlas, roztacza się jezioro *Loch-Katrine* i romantyczne jego wybrzeże *Trosachu*. *Benledi*, *Benmore* i *Benvorlich*, są to góry w tymże samym powiecie w pobliżu Glenfinlasu. *Teith*, okoliwszy *Callender* i zamek *Doune*, wpada do *Jarth*, obok *Stirlingu*. Przesmyk *Lenny*, wijąc się ponad Callendrem, prowadzi wprost w góry. *Glenarthney*, las przy Benvorlichu. Całość obrazu tego dzikiego, dorównywa najszczytniejszym widokom Alpéjskim.

GLENFINLAS.

Coronach Lorda Ronalda. [1])

Tym czarodziejom — niewidzialne oku —
Duchy powietrzne, nie chcąc, ulegają.
Na ich skinienie, głos, wnet z za obłoku,
Korne, acz groźne, zewsząd się zbiegają.
Lecz choć im widma znane należycie,
Jak i ich czyny w eterów otchłani,
Jednak i oni sami nieraz skrycie
Drżą na ich widok, strachem obłąkani.

O Hone a rie! O Honc a ri! [2])
Duma Albynu płacze w rozpaczy,
Bo padł *Glenarthny* nagle dąb stary,
I już Ronalda nikt nie obaczy.

Synu wielkiego *Mac-Gilljanora*,
Straszny dla wrogów nieprzyjacielu!
Któż nie drżał na błysk twego *claymora*, [3])
Strzał twych lecących prosto do celu?

Saksońskie wdowy powiedzieć mogą,
Jak Doliniarze na łeb padali,

Gdyś ich mordował, złamanych trwogą,
Na czele dzielnych naszych Górali.

W dzień uroczysty, ognie *Beltanu*, [4])
Lorda Ronalda złocąc dzielnicę,
Na plac *Highlandzki* z całego Klanu,
Ściągały młodzież doń i dziewice.

Pod jego tarczy opieką dzielną,
Starzec odmłodniał — a dziś w rozpaczy,
Coronach pieśnią naszą weselną,
Bo już Ronalda nikt nie obaczy.

Przybył wódz z wyspy na wielkie łowy,
Do przyjaciela Lorda w gościnę;
Bo zdawna Szkockich wyżyn dąbrowy,
Pielęgnowały mnogą źwierzynę.

Był to Moy, z wyspy *Colomba*, który
Raz w gorączkowém Barda natchnieniu,
Uczuł przerażon, że mu wzrok wtóry,
Błysnął w *podwójném oka widzeniu* [5]).

Znał on magicznych zaklęć niemało,
Na które wszelki duch z trwogi znika.
Znał wiele pieśni, lecz nie słyszało,
Nie! nigdy ucho ich — śmiertelnika.

Pieśni to smutne, wielkiéj żałoby;
Przynoszą tylko wróżby złowieszcze,
I odsłaniają żyjącym groby,
Choć im umiérać nie pora jeszcze.

Otóż zdarzyło się pewnym razem,
Że dwaj wodzowie goniąc żwierzynę,
Zarumienioną pod ich żelazem,
Na Glenfinlasu zbiegli dolinę.

Żadnego przy nich niéma wazala,
By im posłużył w takiéj ustroni.
Ubiór ich prosty, pstry pled gorala,
I Highlanderów claymor w ich dłoni.

Przez trzy dni z rzędu, przepyszne knieje,
Składały łowcom haracz bogaty,
A gdy wieczorem już pociemnieje,
Znosili dzienne łupy do chaty.

Chatka wcisnęła się w dziką puszczę,
W najodludniejszy kąt Glenfinlasu.
W okrąg niéj tylko *Monira* pluszcze,
Wijąc się jarem ciemnego lasu.

Noc była cicha, niebo przejrzyste,
Woń balsamiczna wieczornéj rosy,

Wsiąka falami w powietrze czyste,
Wilży mchy skalne, krzewy i wrzosy.

Posępny księżyc wysoko wzbity,
Siał naokoło blaski promienne,
Srebrząc *Katrinu* głębin błękity,
Bieląc *Benledi* szczyty kamienne.

Teraz zamknięci w chacie wodzowie,
Ucztę rozmową barwią uroczą.
Wesoły Ronald za Moya zdrowie,
Mnogie toasty spełnia ochoczo.

— „Dla ożywienia naszej pociechy,
Zadowolenia serca nam drżące,
Konieczne ładnych dziewcząt uśmiechy,
I pocałunki dziewcząt gorące.

„Dziś się wybrały na polowanie,
Do tego lasu, w te same góry,
Ścigać jelenie, upędzać łanie,
Dwie najpiękniejsze Albynu córy.

„Dawno już w Mary kocham się skrycie,
Lecz ani spojrzy na mnie litośnie,
Choć czuje, że mi zatruła życie,
Tak nad nią siostra czuwa zazdrośnie.

„Lecz ty, gdy na bok zejdziem oboje,
Wytłómacz pięknéj siostry strażniczce,
Niech lepiéj strzeże serduszko swoje,
Niż się narażać ma tak siostrzyczce.

„Uderz w twą lutnię, a pochwycona
Flora de Glengyle w matnię na razie,
Zapomni siostry i zachwycona
Słuchać cię będzie w łzawéj ekstazie.

„A może powieść miła w zaciszy
Silniéj ją wzruszy, niż pieśń arfiana?
Lecz czy nie draśniesz, gdy ją usłyszy,
Zakopanego dwakroć Orana? “)

— „Od bitwy *Enrick*, po Morny skonie,
Odrzekł Moy, nigdy, o! mój ty złoty!
Nie drgnęło tkliwiéj serce mi w łonie,
Na żadne wszelkich dziewic zaloty.

„Po śmierci Morny, za którą płaczą,
Co noc i co dzień gorzko me oczy,
Lutnia ma jękła taką rozpaczą,
Aż mię opętał Zły-Duch proroczy.

„Ostatnim darem ślicznéj méj doli,
Jasnowidzenie! — Niech Bóg cię broni! —

Widzące przyszłe, choć serce boli,
Wszystkie nieszczęścia jakby na dłoni.

„Łódź, którąś dojrzał pewnego rana,
Wypływającą świtem z przystani,
Ja ją widziałem, jak skołatana.
Już się pogrąża w morskiej otchłani.

„A dzielny *Fergus?* syn siostry twojej,
Z jakąś nań patrzał dumną radością!
Gdy odpierając *Domna* rozboje,
Niewolił wszystkich wdziękiem, młodością.

„Tyś widział tylko fałdy *tartanu,* [7])
Słyszałeś tylko dźwięki *pibroku,* [8])
Gdy okrążając, na czele Klanu,
Benvorlich, bił się na każdym kroku.

„Lecz ja widziałem tysiące skonów,
Straszne Fergusa rany otwarte,
Gdy jak lew z góry spadł na Saksonów,
Rwąc im szeregi najbardziej zwarte.

„Ty sam, co pragniesz, bym chciał podzielić
Radość twą; jakże! — wyzna mi ze drżeniem,
Mogę się społem z tobą weselić,
Gdy się tak trwożę twém przeznaczeniem?

„Widzę, jak Larwa pcha cię w bezdroże,
Słyszę Anioła, krzyk coć ostrzega,
Widzę twojego trupa. — O! Boże!
A więcéj oko nic nie dostrzega“.

— „O mój kochany nieszczęść zwiastunie!
Daj pokój mrzonkom takim człowiecze.
Czyliż, że jutro może grom runie,
Mam dziś rozpaczać? Ronald odrzecze.

„Pewna, czy zwodna, — wróżby smucącéj,
Nie przerazi się wódz *Clangilljanu.*
Nic nie ostudzi mu krwi gorącéj,
Gdy wzbiéra — nawet miecz wroga Klanu.

„Mary gdzieś krąży tuż — naokoło
Słyszę bucików łowczych stąpania“.
I z ogarami wybiegł wesoło,
Odchodząc gościa bez pożegnania.

W godzinę może pyszne ogary,
Wpadły, zjeżone groźnie, do chaty.
I wyjąc wściekle, aż drgały jary,
Obok proroka legły na maty.

Północ — Ronalda niéma — strwożony
Moy, w półświatełku lampy gasnącéj,

Widzi, przeczuciem strasznem dręczony,
Jakieś widziadło się błąkające.

Gończe zwieszając nagle ogony,
Milkną, cisnąc się pod wieszcza nogi.
Członki ich drżące, wark przygłuszony,
Zdradzają przestrach śmiertelnej trwogi.

Widzi on na pół drzwi odchylone,
Arfa, nietknięta, brzękła złowrogo.
Jakieś stąpania niepochwycone,
Szeleszczą, zda się, ponad podłogą.

I w omroczonem światełku w chacie,
Zdumiony Minstrel ujrzał przy boku,
Cudną łowczynię w zielonej szacie,
W niewysłowionym wdzięków uroku.

Połyskująca kroplami rosy,
Słania nad lampą śnieżne swe czoło,
Rozpuszcza warkocz i suszy włosy,
Obtulające ją naokoło.

Zarumieniona, głosem słodziutkim
— „Piękny młodzieńcze, zapyta — może
Spotkałeś dziewczę w ubiorze krótkim,
Gdzieś zabłąkane nagle w tym borze?

„Obok niej kroczy *Chieftain* gorali; [9])
Przez ramię tak mu wciąż się przewala,
U boku błyszczy claymor ze stali,
A na nim tartan w kraty gorala?“

— „Ktoś ty?“ — Moy odrzekł. — „Ktoś ty? kto
Jak możesz sama w nocnej godzinie, [oni?
Kogoś tam szukać w takiej ustroni,
Po Glenfinlasu jeszcze dolinie?“

— „Zamek naszego ojca Glengyla,
Ponad Katrinem sterczy ponury.
Straszna jeziora topiel, co chwila,
Odstrzela pyszne jego kontury.

„Wybiegłszy tego ranku na łowy,
Polując tu, to tam, do wieczora,
Nagle spotkałyśmy śród dąbrowy
Wielkiego syna Mac-Gilljanora.

„Racz pomódz znaleść mi siostrę moją,
Która z Ronaldem w kniei przepadła.
Sama iść nie śmiem, bo się tam roją,
Jak głoszą, jakieś groźne widziadła“.

— „Wiele tam duchów krąży złośliwych.
A więc gdy inni śpią już wygodnie,

Przysiągłem modlić się za nieżywych,
Co noc — by Bóg im odpuścił zbrodnie“.

— „Błagam cię, w imię litości, Panie!
Wskaż, wskaż, zbłąkanéj do zamku drogę;
Samotna, przez to plemię szatanie,
Przez las ten, przemknąć z trwogi nie mogę“.

— „Zgoda! — pocałuj krzyż, zmów pacierze;
Nie przemogą ich potwory puszczy.
Przejdziem ją zbrojni w takie puklerze
Bezpiecznie, mimo upiorów tłuszczy“.

— „Hańbać rycerzu! — przysłoń twe czuby
Raczéj kapturem klechy, wygodnie.
Stokroć przyniesie ci więcéj chluby,
Niż znieważony hełm tak wyrodnie.

„W zamku *Dunlathnion*, inaczéj drgało
Serce twe, zmięte zaloty Morny,
Któréj, szalejąc, pieśni składało,
Pijane miłością; — gość co wieczorny!“

Oko Minstrela błysło płomieniem,
Włos mu się zjeżył, pożółkło lice.
Z wzgardliwą zgrozą i oburzeniem,
Utkwił w jéj oczy straszne źrenice.

— „A ty, gdym pieśni na Morny imię,
Układał u stóp dębów płonących,
Krążyłaś, wściekło, w ogniu tych dymie,
Węgdząc się pośród iskier syczących.

„Nie! ty nie jesteś śmiertelnych córą,
Ojcem twym nie jest Lord Glangyle stary,
Matką twą — Furja obwiana chmurą,
Ojcem — Król-Potwór, z jakiéjś pieczary“.

I zaczął szeptać imię Orana,
Zwrócił oblicze w strony wschodowe,
Modląc się długo do *San-Fillana* [10]),
Wstrząsł włosy czarne, pochylił głowę.

Potém ująwszy wiszącą lutnię,
Rzucał na wiatry skargi, łzy, jęki,
Porywająco, ale tak smutnie,
Że aż przyrodę wstrzęsły te dźwięki.

Widmo zawyło, kształty wydyma,
I rosnąc, rosnąc, dosięga stropu,
Aż przetworzone w piekieł olbrzyma,
Ginie, bez śladu, śród klątw potopu.

Wtém grom wystrzelił, powódź lunęła,
Grad tłukł o chatę, wichry ją rwały;

Ale rycerza burza nie tknęła,
Acz chata cała prysła w kawały.

Szatańskie śmiechy, jakiś ryk, krzyki;
Minstrel je słyszy nad głową w górze.
Ale stopniowo krzyk ten i ryki
Głuchną w szkaradnéj północnéj chmurze.

I wnet pioruny walące dęby,
Szerzą łoskoty, a potop krwisty,
Niedogorzałe zaléwa zręby,
Świszcząc na żarze, jak dészcz siarczysty.

Wkrótce Moyowi — odcięte świéżo,
Padły przy stopach głowa i ręce.
Na głowie włosy czarne się jeżą,
Ramiona skaczą w okropnéj męce.

Nieraz tę głowę w bitew zapale,
Zdobił błyszczący szyszak z Renmoru.
Ramię to nieraz w rozgłośnéj chwale,
Ślepiło wrogów blaskiem claymoru.

Biada! o! biada! Moniry fali,
I Glenfinlasu biada dolinie!
Nikt tam z Albynu dzielnych Gorali
Nigdy na łowy już nie zawinie.

Nawet w południe, w najtęższe żary,
Wszystkich wypłasza z niej wspomnień zmora.
Każdy unika *Panny-Poczwary*,
By nie wpaść w zęby *Panny-Upiora.*

Wszystko skończone! — Wódz Clangilljanu,
Już nie nabawi wroga przestrachem,
Już nie obroni naszego Klanu,
A więc uczcijmy go Coronachem:

O Hone a rie! — O Hone a ri!
Duma Albynu płacze z rozpaczy,
Bo padł Glenarthny nagle dąb stary,
I nikt Ronalda już nie obaczy.

PRZYPISY.

[1]) *Coronach.* Pieśń pogrzebowa, śpiewana przez starca z Klanu.

[2]) *O Hone a rie! — O Hone a ri!* Fraza Galicka; znaczy: *płaczmy po wodzu.*

[3]) *Claymor.* Miecz Szkocki.

[4]) *Beltane.* Drzewo *Bela.* Tak nazywają ogień, rozniecany 1 Maja, przez Gorali. Obyczaj ten sięga czasów pogańskich. Obchodzą go obrzędem odmiennym w Północnej Szkocyi, niż w Galii.

[5]) *The second sight,* (proroczy wzrok). Doktor *Johnson* tak go określa: „Jest to wpływ wrażenia, mówi on, umysłu na oko, lub odwrotnie, oka na umysł, które wypadki odległe, lub przyszłe, przedstawia tak widomie, jakby tuż obecnie się działy.“ Dodam tylko, że widziadła takie wróżą zawsze nieszczęście, że przymiot ten dręczy nim obdarzonego, i że zwykle udziela się tylko w wielkiej boleści.

[6]) Święty *Oran* był przyjacielem i uczniem świętego *Colomba.* Pogrzebano go w *Heolmkill,* Prawa jego do świętości nieco podejrzane. Pozwolił się, wedle

legendy, zagrzebać, aby zakląć szatana, niedającego kaplicę Colombowi dokończyć. We trzy dni Colomb kazał go odkopać, lecz z niezmiernem zdumieniem obecnych, Oran, wszem wobec, oznajmił, że niéma ani *Boga*, ani *Sądu Ostatecznego*, ani *Piekła*, ani *Nieba*. Nie miał wszakże czasu jeszcze coś opowiadać, bo Colomb kazał zasypać go znowu co prędzéj. Z tém wszystkiem kaplicę przezwano *Reilig Ouran*, i na pamiątkę ostrego celibatu Orana, żadna kobiéta nie mogła w niéj się modlić, ani pogrzebaną być na smętarzu.

[7]) *Tartan*, strój szkocki wełniany w kraty.

[8]) *Pibrok*, pieśń narodowa bojowa, grana na kobzie, (bagpipe), *Highlanderów*.

[9]) *Chieftain*, wódz góralów.

[10]) *San-Fillana* imieniem przezwano w Szkocyi wiele kaplic, fontan itd. Wedle *Camerariusa* był on opatem w *Pittenween* w Hrabstwie *Fife*; potém złożywszy urząd, został pustelnikiem i umarł w samotni *Glenurcky*, w 649 r. Gdy przepisywał Pismo święte, prawa ręka jego tak błyszczała, że nie potrzebował wcale światła, co oszczędziło wiele świec klasztorowi, bo ś. Fillan najczęściéj w nocy pracował. Dziewiąty stycznia poświęcony był temu świętemu, którego mianem przezwano: *Kilfillan* w *Renfrew* i *San-Fillan*, lub *Forgend*, w Hrabstwie Fife. *Lesley*, twierdzi, że *Robert Bruce* posiadał ramię lśniące Fillana, i że kazał je nosić w srébrnéj skrzynce, na czele wojska. W bitwie pod *Bannockburn*, kapelan króla, małéj wiary, ukrył relikwje w pewnym schowku, aby nie dostały się Anglikom. Lecz patrzcie! w chwili, gdy Król Ro-

bert modlił się do próżnéj skrzynki, otworzyła się sama i zamknęła. Ujrzano wówczas, że Święty osobiście odniósł swe ramię do relikwjarza i złożył na zakład zwycięztwa". Tak mówi Lesley. Acz Robert mógł się obejść bez pomocy San-Fillana, poświęcił mu jednak w hołdzie wdzięczności przeorostwo w *Killin*, nad *Tayu* cudnémi brzegami.

W *Szkockim Magazynie*, w zeszycie *Lipcowym*, 1802 r., jest odpis przywileju ciekawego, z datą *11 Lipca*, 1487 r., którym *Jakób III*, nadaje *Malizowi Doire*, obywatelowi z *Strathfillanu*, w *Perth*, prawo użycia relikwji San-Fillana, przezwanych *Quegrich*, które rodzina jego przechowywała od czasu króla Roberta. Ponieważ Quegrich leczył rozmaite słabości, dokument ten prawdopodobnie najstarszym jest dyplomem udzielonym *quachmedicine*, (szarlatanom). Pragnący więcéj dowiedzieć się o San-Fillanie, znajdą wszelkie szczegóły w *Boece, Ballandena, T. IV. k. CCXIII* i w *Podróży po Szkocyi. Pennanta, 1772, k. 11 i 15.*

MORD W GLENCOE.

(z Walter-Scotta).

— Czemu Glencoe brzmi wciąż boleśnie,
Takim rozpacznym jękiem Minstrela?
Kiedy natchnione gorzko tak pieśnie,
Pustkowia tylko echo odstrzela?
Powiedz mi piewco, komu ty śpiewasz,
W osamotnionej, strasznej tak głuszy?
Czy w obłąkaniu twém się spodziewasz,
Że łanię, orła, mgłę, płacz twój wzruszy?

— Nie! to nie dla nich arfa ma dzwoni.
Mgła się zawiesza na kantach góry,
Łania ucieka do swej ustroni,
Orzeł do swego gniazda mknie w chmury.
Lecz moich, którym święcę mą lutnię,
Nie ochroniły ni gąszcze borów,

Ni głąb gór, dolin; wszyscy okrutnie,
Padli pod ciosem zdrajców potworów.

Sztandar ich drzémał, bębny milczały,
A psy, te stróże wierne Gorala,
Łasząc się, wdzięcząc, gości witały,
W progi ich panów przybyłych zdala.
Kobziarz gra, matka rada, z pośpiechem
Zastawia ucztę im — a dziewczęta,
Wplatają w warkocz róże z uśmiechem,
Na uroczystość takiego święta.

Dłoń co gościnną czarę ujęła,
W biesiadujących życzliwém gronie,
Topi — zaledwie północ minęła,
Miecz po rękojeść w Gorala łonie.
I wnet imając wściekle z ogniska,
Które jéj zziębłe palce ogrzało,
Płonące głównie, wokoło ciska,
Aż w krąg pożarem zaczerwieniało.

Ale krzyk matki, dziecinne wrzaski,
Błagalnie żebrząc o zmiłowanie,
Nie wymodliły litości, łaski,
Jak i chrypliwe ojca konanie.
Śnieg, co zamiecią po górach pruszy,

Wiatr co po jarach burzliwie ryczy,
Wszystko to, wszystko, prędzéj się wzruszy,
Niż serce krwawe Południa dziczy!

Odtąd méj lutni strun postrzępionych,
Brzmią tylko w pustce rażące głosy;
Których w zadumie o dniach minionych,
Słucha jedynie bard białowłosy,
O! gdyby każdy mu włos ten biały,
Mógł się przetworzyć w strunę arfianą.
Jeszczeby hymnem zemsty zagrzmiały,
Śmierć bandzie zbójów! za krew przelaną.

POWRÓT DO ULSTERU.

(Z Walter-Scotta).

Jeszcze raz! — Jakżem inny jak przed laty,
Gdy odbiegałem ztąd w dalekie światy! —
Raz jeszcze słyszę echa Tullamoru,
Wtórzące szumom sosnowego boru.
Czemuż drżę? — wskrzeszążż wdzięki tej ustroni,
Ów czar młodości, gdy się raz uroni?
Odżyjeż urok ów złudzeń zabity,
Co mię upajał takiemi zachwyty?

Wówczas, acz życie płynęło mi w cieniu,
Widziałem wszystko w jakiemś uniesieniu.
Strumień błękitniał, rosa się perliła,
A cała ziemia Edenem mi była.
A gdy o pieśniach Bardów mi mówiono,
Rwałem się do nich duszą rozognioną,

Bo malowidła legend ich złudne,
Dla mnie wcielały się w postacie cudne.

Na mój głos olbrzym Ultony się zjawiał,
I świetne gody jak niegdyś wyprawiał.
Sztandar Fiona promieniał na murze,
Jak słońce, gdy się zanosi na burzę,
Lutni Erinu zapomniane pieśnie,
Brzmiały mi znowu słodko, to boleśnie.
Lecz poco marzyć, jak na urąganie,
Co zagrzebane już — nie zmartwychwstanie.

A taż dziewica, czy Szatan uroczy,
Co kiedym śpiéwał, odwracała oczy,
Byłaż to także złuda, cień, widziadło,
Co wsiąkło w rosę, czy w słońcu przepadło?
Oby jéj oko z ognistą źrenicą,
Było gwiazd tylko świetną błyskawicą,
A jéj głos tchnieniem Eolskiém wietrzyka,
Co zaszeleści w róży i wnet znika!

Oby tak było! toby biédne serce,
Nie trupieszało w takiéj poniewierce,
Nie rozpaczałob, nie mając nikogo,
By doń przytulić się w chwilę złowrogą.

Nie rzekłob — w życia głębokiéj jesieni,
Któréj się barwa coraz smutniéj mieni.
Boże! weź mienie me dla wielu cenne,
A wróć mi! wróć mi! rojenia wiosenne!

Nagrobek Alfreda de Musset,

który sam sobie napisał.

(Um. 1857).

Pomnik na smętarzu *Père-Lachaise.*
Popiersie marmurowe i wierzba płacząca.

Gdy umrę, drodzy moi! u mogiły,
Posadźcie wierzbę z liśćmi płaczącemi.
Lubię te listki blade — cień ich miły,
Przysłoni lekko cichy sen mój w ziemi.

DON PAEZ.

DON PAEZ.

POEMAT

ALFREDA DE MUSSET.

1880.

Pani *Jadwiga Kraushar*, w ocenie swéj *Pism Alfreda de Musset*, mówi o *Don Paezie:*

„*Don Paez* jest namiętną historyą miłości i zemsty. Bohater kocha piękną Hrabinę *Juanitę d'Orvado*. Raz w nocy, odbywając z towarzyszami swémi wojskową służbę, słyszy, jak jeden z oficerów chwali się, że pozyskał miłość Juany. Don Paez oznajmia, że Juana jest jego kochanką, i że jego jedynie kocha. Rywal ustąpić nie chce. Przychodzi do pojedynku na warunkach, że ten który drugiego przeżyje, ma zabić niewierną i nikczemną kobietę. Don Paez dusi swego przeciwnika, potém bieży do kochanki, i zabija ją w miłośnym uścisku. Całéj siły poetycznego talentu, całego zapału młodzieńczego ognia użył Musset, dla odmalowania wzburzonych namiętności, i zazdrośnego szału. Obrazów pięknych mnóstwo w téj powieści poetycznéj a zmysłowéj. Pierwszy opis miłości dwojga kochanków czaruje wdziękiem. Scena pojedynku przejmująca siłą dramatyczną, i nakoniec ostatni rozdział i śmierć pełna grozy tajemnéj zléwają się w całość pięknego obrazu, nasyconego namiętnym włoskim kolorytem".

Dotąd pani Kraushar.

Roznamiętniony Hiszpan przesadził w zemście, w zapamiętałém oślepieniu, zapewne, choć i u nas, w strefie chłodniéjszéj, pod słońcem zimniéjszém, zdarzają się niekiedy podobne wypadki. Nie bardzo to pochlebne, tém mniéj godziwe, nikt temu nie zaprzeczy, lecz kobiéty rozdmuchując często śpiące uczucie mężczyzn, lekceważą je potém, i nie troszcząc się o nie wcale, igrają swobodnie z ich sercem, jakby to była niewinna, tak sobie, zabawka. Są wprawdzie i inne; niechże Bóg broni, żeby ich zgoła nie było! co leczą najcięższe rany, najwstrętniéjsze słodzą gorycze, ale jakżesz to rzadkie zjawiska! Któż tak się zabezpieczył, aby choć raz nie rozczarował się w życiu, straty złudzeń najmilszych, choć raz, ciężko nie odbolał? Czynu Hiszpana nikt pewno nie pochwali, w ojczyźnie jednak jego wyrozumialéj go osądzą.

D O N P A E Z.

I had been happy, if the general camp.
Pioneers and all, had tasted her sweet body
So I had nathing known.

Othello.

Nie pociągały nigdy mnie te trusie święte,
Co nie wyszłyby same za nic na ulicę.
Za któremi się wleką — depcąc wciąż im piętę,
Ochmistrzynie, jak mulnik pędzący mulicę.
Co strzępią na modlitwach usta, co ścierają
Kolana klęcząc — bledsze od owego męża,
Którego za fałszerstwo monety wieszają,
Lub co stopy bosémi nastąpił na węża.
Zaprawdę, panie takie nie troszczą się wcale,
Że w życiu posągowem ich, bez krwi, wnętrzności,
Nie zatleje spółczucia iskra nigdy. Ale,
Na mą głowę, mój bracie, i na moje kości,
Stokroć one uczciwsze od gołąbek owych,
Co latając, sam na sam, na schadzki, baliki,

Marzą tylko po nocach o umizgach nowych,
Chowają w zarękawkach słodkie bileciki,
Ściskają wstęgą kibić wiotką, pochyloną,
Zwieszają z ganków złotych drabinkę miłośną,
Pociągane żądzami co im palą łono.
Które bujnie w noc jedną niby grzyby rosną.
Ponętne zresztą wielce — kochające wściekle:
Wąsy, psy, walce, polkę, cukierki — cóż jeszcze?
Lecz większego nieszczęścia nie znajdzie i w piekle
Człowiek serca, gdy mu je schwycą w ułud kleszcze.
Lepiéj-b dlań, jak owemu niegdyś rzeźbiarzowi,
Co przytulał kamienną swą oblubienicę,
Ogrzać pocałunkami marmur, i głazowi
Tchnąć duszę; albo spotkać zgłodniałą wilczycę.

I.

Com powiedział, przykładem mogę łatwo dowieść,
Nie nudząc przeto długo wstępem, macie powieść.
Słuchajcie!
Tego lata jeślibyście byli
Na placu San-Bernardo, o północnéj chwili;
W pewien Wtorek, pod oknem z firanką ponsową,
I, z nabitą myślami figlarnémi głową,
Zajrzeli przez niewielką dziurkę w okiennicy;
Dostrzeglibyście naprzód, w pysznéj, pstrej, świetlicy,
Rzęsisto oświetlone kandelabry; mury
Lśniące różnobarwnémi pod sufit marmury.
Tu i tam karafinki, po sutéj wieczerzy
Stérczące z niedopitém winem śród talerzy.
Na posadzce leżała mandora, drgająca
Głuchym dźwiękiem, bo strun jéj palec nie potrąca,
Jako łono dziewicy drży lekko i dysze,
Nim się po żwawych pląsach zwolna ukołysze.
Wszystko spało; i tylko z góry księżyc blady,

Wśliznąwszy się przez okno Hiszpańskiéj arkady,
Na ciemne axamity, i sprzęty złociste,
Siał, niby od niechcenia, promienie srebrzyste.
Tak, iż dobrze wpatrując się, na wykładaném
Łożu, kością słoniową, bursztynem, hebanem,
Ujrzelibyście nóżkę bosą na pościeli,
Jakiéjście pewnie nigdy w życiu nie widzieli.

Hiszpanja kraj niemały, Hiszpanki prześliczne;
Ale przetrząś pałace, sioła, grody liczne,
Nie znajdziesz ani jednéj, by swą stopkę śmiała,
(Jak w *Kopciuszku)*, z jéj nóżką mierzyć — taka mała!
Tak mała, żeby łatwo dziecku najmniéjszemu,
Objąć ją drobną rączką. Nie dziwcie się temu:
Piękności niezrównanéj, o któréj wam prawię,
Nie zaćmi wdziękiem żadna piękność, zakład stawię.
Cudna! a co do stopek, była — trzeba wiedzieć,
Andaluzką Hrabiną — to dosyć powiedzieć.

Wszelako przez firankę przéjrzystą, wspaniałą,
Dojrzałbyś ją w ramionach kochanka omdlałą.
Obwisłe jéj rączęta, zwilgocone oczy,
Potęgowały jeszcze wdzięk i tak uroczy.
Główka jéj, i jéj łono włosem przysłonione.
Lecz bezwładne jéj śnieżne ciałko rozognione,
Płonące lica, usta wyschłe, zaciśnięte,

Jakby w próżni cmokały cienie nieujęte,
Serce wzdęte uczuciem, choć ledwie już biło,
Wszystko, wszystko, o nocy szalonéj świadczyło.
Obok niéj, jéj kochanek, namiętną źrenicę
Topiąc w oku kochanki, i w cudowne lice,
Pochylon nad jéj usty, zaledwie usłyszał
Jaki jęk, pocałunkiem palącym uciszał.
Tak czas mijał. Na placu brzaski porankowe,
Rzucały już gdzieniegdzie pobiały perłowe.
Zegar klasztorny dzwonił godziny leniwo;
Na ich dźwięk zwinny młodzian poskoczył co żywo
Ku swym sukniom, i szpadzie przykrytéj sukniami.
Potém widząc kochankę swą zalaną łzami:
— No! dobranoc, aniołku mój! rzekł, tylko jeszcze,
Ostatnim cię całusem na drogę popieszczę!
— Już odchodzisz? niedobry.
— Jutro przecież wrócę
O południu. Bądź zdrowa!
— Tak! a ja się smucę.
Don Paezie! Bardzo, bardzo, pani ta szczęśliwa,
Co-ć na tak ranną schadzkę odemnie odrywa.
— Wiész dobrze, gdzie mnie pędzi karność niewol-
[nicza,
Że dziś w zamku kochanką mą, budka strażnicza.
— Dlaczegoż więc tak spieszysz? jakaż to przysięga
Z budką tą, piekielnémi więzy tak cię sprzęga?

— Pozwól mi się popieścić twoją cudną nóżką;
Muszę iść.
— Czyż to z drzewa różanego łóżko,
Kochanka, kwiaty, wonie, wszystkie te ułudy,
Niewarte w oczach twoich szkaradnéj téj budy,
Podpartéj wstrętnym słupem, niby szubienicą?
— Prześliczne masz ramiona, moja anielico!
Pozwól je ucałować.
— Jakżem zaczesana!
Brzydkiś!
— No! zgoda! zgoda! moja ukochana!
Ho! ho! cóż to za minka jakaś bardzo sroga?
Jutro święto, przejedziem się, chcesz, moja droga?
— Nie! moja klacz Angielska kuleje.
— Do licha!
To niech ją dyabli wezmą! niech prędzéj już zdycha!
— Don Paezie! zostań jeszcze, pocóż mnie tak
[smucić?
— Cóż to, moja najdroższa? chcesz ze mną się
[kłócić?
Poczekajże! tak ślicznie rozczochram ci kosy,
Że pewnie do wieczora nie utrefisz włosy.
— Idź sobie szkaradniku! jakaż to gadzina!
— Żegnam cię, ukochana, najmilsza, jedyna!
I rzuciwszy na barki płaszcz, wyszedł z alkowy.
Powietrze było wonne, szarzał świt perłowy.

Sążnistym krokiem główną ulicę wyminął,
Brzęk ostróg jego złotych w głuszy nocnej zginął,

O! w tej porze zieleni, i siły przyrody,
Gdy drzewa z twardą korą, gorący wiek młody,
Przysłaniają swym cieniem wszystko naokoło.
Szczęśliwy! stokroć szczęsny! kto gładzi wesoło,
Ognistego rumaka pierś, rozkosznie pieści,
Czarujący, gorętszy stokroć, gors niewieści!

II.

Don Paez, paląc cygaro, szedł do arsenału.
Uzbrojon mieczem, krocząc milczkiem obok wału.
Samotny, niby punkcik majaczał. Czasami,
Przy dźwięku trąb pobudki grających chwilami,
Odpowiadał pospiesznie stróżowi pijanemu,
Na pytanie: „Kto idzie?“ podchodząc ku niemu.
Wokoło towarzysze broni i młodości.
Ci śpią twardo na ziemi, owi grają w kości.
Ploteczki, zakrapiane winem, oczywiście,
Jak z rogu obfitości, sypią się rzęsiście.
Ten, na zacną dziewczynę, niby bardzo przednie,
Łyknąwszy suto, plecie niepoczciwe brednie.

Ów, podparty łokciami, nucąc coś pod nosem,
Półsenny, na swą kostkę pogląda ukosem,
I na każdy wątpliwy rzut zębami zgrzyta.
Tamten, zadarłszy głowę, aż drgnęła z piór kita,
Udaje dowcipnisia; inny ostro ściętą,
Wstrząsając rudą brodą, w górę podgarniętą,
Potężnym haustem spija się, biesiadnik dzielny!
Za zdrowie Króla żłopiąc jak kantor kościelny.
Blade światło łojówki, płonącej w kąciku,
Za każdym grzmotem pięścią w stół, drży na stoliku.
Otóż śród tych oklasków, klątw, swarliwej zwady,
Które wciąż coraz jątrzą wino i zakłady,
Jeden z nich rzekł:

— Jesteście zuchy jakich mało!
Rycerze wielcy, brawo! przecież twierdzę śmiało,
I ogłaszam po trzykroć laleczką nikczemną
Każdego, co nie uzna natychmiast, wraz ze mną,
Że najpiękniejszą rączką, jaka w tym psim świecie,
Od Burgos do Kadyxu, gdziekolwiek pójdziecie,
Rączka Donny Cazales, aniołka z Sewilli,
Która jest mą kochanką, jak w mieście głosili.

Słowa te zagłuszono wrzaskiem, miecze szczękły,
Aż w sąsiednim klasztorze tafle w oknach brzękły.
Nietylko to on jeden miał się za junaka,
Któremu się zdarzała smaczna gratka taka.

Ten sławił swej kochanki nóżki, tamten oczy,
Trzeci kibić, i połysk przepysznych warkoczy.
Don Paez na to uśmiechał się, drwiąc, obojętnie;
Obłąkan szalejącém sercem swém namiętnie,
Widział tylko prześlicznéj kochanki swéj lice,
Ciałko bielsze od śniegu, jak węgiel źrenice.

— Panowie! rudobrody krzyknął, moi mili!
Róci tak axamitnéj jak u Inezilli,
Nigdym jeszcze nie musnął wąsem; to rzec wiele!
— Nie znasz, odparł mu groźnie sąsiad, Arabellę!
— Moje serce czémś lepszém trochę się pochwali.
Mam ich trzy! ktoś zawołał.
— Bracia! wrzasnął w dali,
Dragon w żółtym mundurze, który chrapał w sianie.
Budzicie mnie! A mnie się śniło me kochanie!
— Doprawdy! lubieżniku, zagadnięto społem.
O kimże to marzyłeś tak, w śnie tak wesołym?
Na co odrzekł ziewając:
— Juana Orvado
Miano jéj; a mieszkanie, gmach, plac San-Bernardo.

Słysząc to, zwarjowany Don Paez, zgrzytnął zębem,
Przygryzł wargi, drgnął cały, włos stanął mu dębem.

— Cztery słówka wypsnęły ci się niespodzianie,
I bardzo nieroztropnie, rzekł, bo kłamiesz, Panie!

Tak! Hrabina Juana Orvado jednego
Ma tylko ulubieńca; stoisz obok niego!
— Tak mówisz? odrzekł dragon; któryś z nas
[jednakże
Myli się, bo Hrabina i mnie kocha także.
— Ciebie? krzyknął Paez wściekle, stajenna hołoto?
No! bierz-no rychlej szpadę, czy prosić cię o to?
Kocha cię, Don Eturze? a czy wiesz mój zuchu,
Żem cztery lata za nią, jak pies na łańcuchu,
Włóczył się wciąż? Myśliższe, opętany szałem,
Że dokonałbyś tego, co ja dokonałem?
Czyliż wypiętnowany tchórz na twojej twarzy,
Na to wszystko com zdziałał, kiedy się odważy?
Gdy dziś jeszcze krwią broczę; aż od tych katuszy,
Pobladło tak mi czoło, pociemniało w duszy!
— Nie! lecz wiem, że bukiety dla niej, serenady,
Wyciągały mi liczne z kieszeni *cruzady* *).
— Panie! twój język młody, jak najęty kłamie.
— Ręka ma także młoda i ciężkie me ramie.
— Dobrze więc! niech ją zatem co prędzej poczuję.
Ale milcz! bo ci łotrze gębę zaknebluję
Sztyletem, aby w głąb jej wepchnąć szereg cały
Potwarzy, co się przez nią prześliznąćby chciały.
— Hola! hola! nieprawna śmiałku taka pycha,

*) Pieniądz wartości 3 franków.

Dowodzi zuchwałości nie lada, do licha!
I kiedy-żeś oglądał twój skarb? w nocy może?
— Nad rankiem.
— O! to w takim razie się założę,
Że jeszcze nie obeschły z pocałunków usta,
Któremi cię raczyła swawolnica pusta.
— Wypluję ci je na twarz, krzyknął Don Paez
[wstrętnie.
— A to poznajesz? odrzekł Etur obojętnie.

A gdy łono swe rozkrył młodzieniec figlarny,
Don Paez ujrzał na sercu włosów kosmyk czarny.
Na warkoczu zawieszon w szkle, filigranowy,
Przepyszny medalionik lśnił z kości słoniowej.
Lecz gdy wzrok jego bystry jak piorun, wzrok
[mściwy,
Dostrzegł szybko na piersi wroga dar straszliwy,
Odskoczył nagle na bok z bolu i wściekłości,
Jakbyk, któremu w szrankach wyprują wnętrzności.
— Chłopcze! krzyknął, aż wstrzęsła widzów nie-
[ma trwoga,
Masz może matkę, siostrę, żonę? wierzysz w Boga?
Przysiążże mi na Boga, matkę, ojca twego,
Na wszystko, przed czem klękasz, co ci najdroższego,
Na twą prawość, niewinność, wiarę, spokój w grobie,
Przysiąż mi, że te włosy dane, dane tobie!

Żeś nie ukradł je, nie wziął zdradnie, ni nikczemnie,
Nie uciął jej znienacka podczas mszy tajemnie!
— Przysięgam na mą lulkę, rzekł młodzian, i szpadę.
— Dobrze! zawołał Don Paez, chodźmy na naradę.
Chodź! zdaje mi się, że masz dosyć hartu duszy.
Możesz zabić kobietę? płacz cię jej nie wzruszy?
— Bracie! odrzekł Don Etur, o! mam dosyć męstwa,
By zapłacić im wszystkie ich krzywoprzysięstwa!
— Czujesz jednak, rzekł Don Paez, że któryś [z nas zginie.
Przysiążmyż, że ten co się od śmierci wywinie,
Dziś, czy jutro, Juanę Orvado zabije,
Aby nie zatruwała już serce niczyje.
— Dobrze! zawołał Etur, niech umiera! zgoda!
Wszak przez nią ginie człowiek; tak zła, a tak [młoda!
I nie mówiąc słóweczka więcej, mieczem błysnął,
Wywinąwszy w powietrzu młyńca nim, aż świsnął.

Jako dwa wilki w lesie, na murawie ściętej,
Szarpiąc bujne pokosy trawy zeschłej, zmiętej,
Stanąwszy oko w oko, groźnie zęby szczerzą,
Sposobiąc się do walki, nim na się uderzą,
Krążą zwolna, i jeżąc grzbiet, wznoszą ogony,
Aż pyski wychudłemi zwiodą harc szalony,
Tak patrzą na się dziko, okalają szaniec,

Dwa wrogi, na śmiertelny gotując się taniec.
Czasem stal wywijana silnemi prawicy,
Zapala się na chwilkę iskrą błyskawicy,
Gdy w bladawym pochodni gasnących promieniu,
Wszystko, zda się, im szepce o ich przeznaczeniu.
Oni, niby rybacy nad brzegiem zwieszeni,
Pragnąc co rychléj skonu, k'sobie pochyleni,
Wzajemnémi zniewagi drażnią się śmiertelnie,
Zadawać, jak i odbić mogąc razy dzielnie.
Etur dwakroć ognistszy, Don Paez potężniéjszy,
Jako kormoran skrzydłem, mieczem najzręczniéjszy
Cios odwraca, przyklejon do muru plecyma.
Widząc go, jak się ściany uporczywie trzyma,
Rzekłbyś, kamień gotycki wstrzęgły w bruk uliczny;
Ruszające się widmo; czy cień fantastyczny.
Czeka. Etur, raz jako jaguar młody, śmiało,
Krążąc, mrucząc, wyzywa postawą zuchwałą,
To znowu mu urągał, jakby pragnął skrycie,
Oderwać go od muru, drwiąc zeń jadowicie.

Zapasy trwały długo. Każdy raz zażarty,
Był również dzielnym razem natychmiast odparty.
I już plamka niejedna co broń im broczyła,
Wskazywała, że nieraz krwią się napoiła.
Paez widząc co się święci, jak ciężka to sprawa,

Że się nigdy nie skończy śliczna ta zabawa:
— Do ciebie! krzyknął, baczność! masz!

Cios był szalony;
Szalony cios! straszliwy! lecz źle wymierzony,
Bo jeślib, rozmachanem tak, trafił żelazem,
Pewnieb z głową i szyję odwalił zarazem.
Ale śmierci uniknął Etur niemniej dzielny,
Acz pękł mu miecz, tak silnie odbił raz śmiertelny.
Więc zwarli się za bary, gdy broń już nie służy,
Jak ściskamy przyjaciół po długiej podróży,
I żelaznem objęciem tak się w pół ujęli,
Jakby ducha w tym splocie wycisnąć pragnęli.
A w piersiach ich zdyszałych zaledwie zostało
Miejsce na bicie serca, aby nie omdlało.
Straszny splot! w którym każdy z nich wytężał siły,
By drugiego co prędzej zepchnąć do mogiły;
W którym każdy z nich ginął z uczuciem wesołem,
Byleby nienawistny wróg z nim zginął społem;
W którym, by serce rychlej rozerwać w kawały,
Dłonie miały żelaza, usta zęby miały.
Straszny splot! młodszy skonał w ramionach [zduszony.
Nagle pobladł, posiniał, a gdy go z lwiej szpony
Chciano wydrzeć, bo dlań się wszystko już skończyło,

Mniemano, że nie wyrwą nigdy żadną siłą
Trupa z rąk człekobójcy, które, zaciśnięte,
Nie rozjętym obręczem gniotły zwłoki zmięte.

Miłości! plago świata, obmierzłe szaleństwo!
Co tysiącami cierni gotując męczeństwo,
Wiążesz jedyną nicią do ponęt rozpusty.
Jeśli kiedy na zimno, zalotnémi usty,
Zapalisz, trując serce, pożogę w méj duszy,
Wyrwęć z niéj, jak miecz z rany; bo aczbym
[z katuszy
Skonać miał, godniéj, gardząc tobą, precz od-
[rzucić,
Niż dla cię choć na chwilę, podle się zasmucić.

III.

Znasz na pustéj ulicy, bracie mój kochany,
Dom bez drzwi, bez okiennic, nędzny, obszarpany;
Niedaleki rogatki, w którym tylko dziecko
Smaga psa wychudłego, podchodząc zdradziecko;
W którym okna bez tafel, wichrem potrącane,
Drgają jak pajęczyny w nich porozwieszane;
W którym żadnego ruchu, prócz jaszczurek lśniących,
Po gzymsach oberwanych w słońcu pełzających.
Jak nad kopalnią marglu, ponure, milczące,

Widujem stare prządki wieczorem siedzące,
Które kręcąc bawełnę odparzoną dłonią,
Zadumane, styrane, tęskną głowę kłonią,
Tak, rzekłbyś, że mnogiemi laty skołatany,
I biedny dom ten, wiekiem, jak one, złamany,
Siadł jak one nad drogą, smucąc swym widokiem.
Do niego to, nazajutrz, Don Paez wolnym krokiem
Udał się, i wszedł, marząc, na schody ponury,
W których powygryzały wilgoć i czas dziury.

W najpierwszéj izbie nizkiéj, okurzonéj pyłem,
Która nań oddziałała wrażeniem niemiłém,
Nie było nawet łóżka. Jakaś woń szkaradna,
Dym jakiś, świadczą, że to komnata biesiadna.
Tu dwa spore sepety, tam stołek kulawy,
Trzęsie się za dotknięciem, jak i chrome ławy.
Garnki, ohydne graty na kominku sterczą,
W którym wciąż, dniem i nocą, świerszcze ska-
[cząc świerczą,
Cztery wstrętne portrety, od których do Piekła,
Z przestrachu, wszystkich djabłów zgraja by uciekła.

— Jest tam kto? krzyknął Don Paez.
Ruda, poplamiona,
Kryła drzwi przeciwległe wełniana zasłona,

Na której tle wytartém liczne szpary świecą.
Wyciągnął rękę, aby uchylić ją nieco.

— Wejdź! zawołał ktoś głosem ochrypłym,
[gardlanym.
Na tapczanie, brudnémi łachmany zasłanym,
Leżała rozchrystana, bosa, naga prawie,
Gospodyni téj ciupy w obmierzłéj postawie,
Odrażająca, straszna. Wstrętne to widziadło,
Było piękne za młodu, lecz życie je zjadło.
Płeć jéj biała, i czarny włos jéj, jednocześnie,
Barwy swe w szargach życia straciły zawcześnie.
Rzekłszy prawdę, była to nierządnica jawna,
Wykwintem, przepychami strojów, wdziękiem
[sławna.
A gdy Belisa na swym mule z dzwoneczkami
Przejeżdżała, tropiła ją młodzież rojami.
Niegdyś, same bolera, kwiaty, maskarada,
Dziś nędza ją schwyciła w swe kleszcze. Alkada,
Znając dom ten, zmarniałej na nic kobieciny,
Nie mitrężył ją nigdy swémi odwiedziny,
Dozwalając jéj umrzeć spokojnie. Więc skrycie,
I dziś nie nader godnie zarabia na życie,
Bo jak do czarownicy głośnéj, do jéj domu,
Cały Madryt po rady spieszy pokryjomu.

Don Paez jednak zawahał się chwilkę, a ona
Wyciągnęła doń chude, gołe swe ramiona,
Jakby chciała przygarnąć k'sobie go poczwara.

DON PAEZ.

— Poczekaj! cztery słówka tylko; słuchaj stara!
Znasz mnie! weź więc tę kiesę, ale pomnij, proszę,
Że jak kłamstw, tak i twego gadulstwa nie znoszę.

BELISA.

— Złotko! mój kawalerze! Wiem, co ci się marzy,
Jakaś pewnie blondynka, archanielskiej twarzy.
Znam jednę!

DON PAEZ.

— Co mi pleciesz! daremnie! daremnie!
Blondynki i brunetki wstręt dziś budzą we mnie!

BELISA.

— Ah! zatem to nienawiść. Więc to jakaś zdrada.
Potrzebna ci trucizna; co? i to nie lada!

DON PAEZ.

— Chciałem naprzód truciznę; ale, myślę, rana,
I prędsza, i pewniejsza, sztyletem zadana.

BELISA.

— Synu mój! dłoń twa słaba jeszcze, chybi celu;
Trucizna ma nie chybi, otruła już wielu,

Patrz! przejrzysta, różana, pociąga do picia,
Kosztując, każdy powie: przedni nektar życia!

DON PAEZ.

— Nie! nie chciałbym, ażeby umarła otruta.
Bardzo długo cierpiałab; to ciężka pokuta.
Konałab z parę godzin, musiałbym ją dobić.
Trucizna twa, pfe! nie chcę; tak zdrajca zwykł robić.
Jest to kot co rwąc zębem, widokiem boleści
Mordowanego szczura, rozkosznie się pieści.
A potém tak okrutna śmierć, śmierć tak szkaradna;
Te jęki, drgawka, czkawki; nie! nie! nadto ładna!
Ona zginie od razu.

BELISA.

— Więc czego chcesz, Panie?

DON PAEZ.

— Słuchajno; czy to prawda, jakieś tam paplanie
O miłośnym napoju?

BELISA.

— Widzisz na tém oknie,
Flakonik ciemno-żółty, w którym kwiatek moknie?
Przytknij usta doń, a wnet uznasz i bezemnie,
Czy o płynie miłośnym gadają daremnie.

DON PAEZ.

— Daj go! wyznam ci wszystko, nic ci nie zataję
Wiedz, że ją kocham jeszcze, ile mi sił staje.
Szczep przed laty pięcioma w opokę wszczepiony,
Nie może być tak snadnie z niej precz wyrzucony.
Więc Beliso, jak serca mego, tak i myśli,
Bezrozumnej miłości tej nic nie określi.
Bądź co bądź, trzeba skończyć raz z nią; lecz
Drżeć przed nią. [się boję

BELISA.

— A! tak dla niej słabe serce twoje.

DON PAEZ.

– Ona umrze, nędznico, tuląc mię, całując.

BELISA.

— Pewnyś siebie? Miłośnym napojem się trując,
Znasz-że jego następstwa?

DON PAEZ.

— Zabijaż on?

BELISA.

— Zrazu,
Rozmarzy cię jak wino, stwardniesz nakształt głazu;
Umysł twój bujać będzie; jakaś niemoc, mdłości,
Na wskróś potem zamrożą cię do szpiku kości.

Głowa ci ociężeje, wzrok zaćmi sokoli;
Nareszcie, obezwładnion, drżąc, zaśniesz powoli,
Ale snem ołowianym, kamiennym, mogilnym.
Wówczas pryśnie czar, a ty, złaman snem tak
[silnym,
Zgrzybialszy od staruszka, nakształt jodły w lesie,
Której uschłe gałązki, krusząc, burza niesie,
Utoniesz całkiem w pragnień miłośnych potoku,
Śród kroczących aniołów z nieba przy twym boku.

DON PAEZ.

— Mękaż wielka umierać potem?

BELISA.

— Wielka męka.

DON PAEZ.

— Daj flakon. Śmierć-że rychło zabije?

BELISA.

— Nie; nęka
Długo nim zdusi.

DON PAEZ.

— Żegnam!

Dopity flakonik
Do kropelki, ponury, wyniósł na balkonik,

I stawiając, osłupion, runął pośród sali,
Jak żołnierz, gdy go w boju kula celna zwali.

— Chodź! wołała go ciągnąc stara, zaśnij sobie,
Dzisiaj w moich ramionach, jutro twardziéj w grobie.

IV.

Jakże cudnie w wieczorném półświetle, pół cieniu,
Czesząc krucze swe włosy w księżyca promieniu,
W hebanowych warkoczy wygląda koronie.
Niby rycerz zdobiący czarnym hełmem skronie!
Welon jéj rozpuszczony zwiesza się ku ziemi.
Ach! jak piękna! jak piękna! i jak tajemnémi
Żądzy płonąc jéj serce, drgawką przyspieszoną,
Pod złotym naszyjnikiem podnosi jéj łono.
Słucha. Noc kopuły już szatą swą obwija,
Tysiące widm wybiega, krzyżuje się, mija.
Madryt po sennéj rzéce błysnął latarniami,
Sam uśpiony kroczących mułów brzękadłami.
Przepełniony gród szmerem tajemniczych gwarów,
Przeistoczył się w jeden gmach wróżek i czarów.
Rzekłbyś, że te granity, blanki wyzębione,
Na szczytach fantastycznych zamków zawieszone.
Piękna jednak sennora przytykając czoło
Do okienka, marzące, nie nader wesoło.

Drży tajemnie, nie wiedząc, trwogą, czy pociechą,
Ilekroć tętent kroków przynosi jéj echo.

O! jakże w owéj chwili kobiéta się wzrusza!
Gdy myśl, w któréj się całkiem pogrąża jéj dusza,
Ucieka, rosnąc coraz, jak strumyka fala,
Przed wezbraną jéj żądzą, co się wciąż rozpala!
Wówczas sama nadzieja, drażniona wspomnieniem
Wyszukiwanych pociech, staje się cierpieniem,
I oko w jakąś lśniącą otchłań się wpatruje,
Jak owa, w którą Dante marząc w śnie wstępuje.
Cyt! patrz! patrz! wzdłuż tych wschodów wiją-
[cych się osi,
Krążąc, przyćmiona lampa zwolna się podnosi.
Stanęła; zgasła nagle; i wnet śród pomroki,
Zatętniła posadzka pospiesznémi kroki.

— Otwórz drzwi Inesillo, i spójrz przez szczelinę;
Widzisz, obok galerji kroczy palto sine?
Widzisz już pod wystawą, człowiek uzbrojony?
To on! to on! to Don Paez! Witaj ulubiony!

DON PAEZ.

— Witaj! i niech cię wspiéra Boża moc wszech-
[władna!

JUANA.

— Cóż to, takeś znużony? czym taka szkaradna,
Że nie chcesz mnie uścisnąć dzisiaj, cóż to będzie?

DON PAEZ.

— Nie mogę; piłem wiele wina przy obiedzie.

JUANA.

— Co? zamykasz drzwi na klucz? co to zna-
[czy? — rzekła.
Boisz się, by Juana twoja nie uciekła?

DON PAEZ.

— Łatwiej tu wejść, niż wyjść ztąd.

JUANA.

— Jaki blady! Boże!
Cóż to za uśmiech dziwny? straszny? Ja się trwożę!

DON PAEZ.

— Wchodząc tu, odrzekł Don Paez, myślałem
[Juano,
Że kobieta co zdradza, gdy jest uwielbianą,
Odlana, przyznaj sama, z metalu owego,
Z którego wyrabiają coś najpodlejszego.

JUANA.

— Miałeś dziś szczególniejszy jakiś sen widocznie.

DON PAEZ.

— Dziwny sen. — Więc wracając do rzeczy
[niezwłocznie,
Mówię, że ta kobieta zacna, bardzo może,
Niekiedy na kochanka zawieźć się wyborze.

JUANA.

— Zapomniałżeś, gdzie jesteś, i mnie tak boleśnie?..

DON PAEZ.

— Zbrodnia to, dwóch Juano, kochać jednocze-
[śnie.

JUANA.

— Czemuż mówisz to do mnie, czemu z taką
[drwiną?

DON PAEZ.

— Czemu? wiém doskonale, dlaczego, Hrabino!

JUANA.

— Boże! Boże! aniele mój! cóż ci się stało?
Jakież straszne szaleństwo tak cię opętało?
To ja, twa Juanita! Nie znasz już me życie
Imienia, któreś wczora wymawiał w zachwycie?
A téż nasze przysięgi, te nasze czuwania
Tylekroć całonocne! wieczory! zarania!
Te łzy nasze! szaleństwa te rozkoszne potém!
Biada nam! biada! biada! zapomniałżeś o tém?

A gdy to łkając rzekła, dłonią rozognioną,
Drgającą, dłoń ujęła młodzieńca zwieszoną.
On cofnął się, posiniał, krew zbiegła mu z twarzy,
Jak dziecku, gdy się nagle ukropem oparzy.

— Juano! szepnął, chciałaś!
I nie dokończyły
Usta myśli urwanéj, bo ciała się wiły
W uścisku już na łożu; całusy gorące,
Głuszyły ich westchnienia, wargi im palące.
O! jak zaprzepaszczeni w namiętném użyciu,
Zapomnieli o sobie, o śmierci, o życiu!
Tak sternik zapomina, na burzliwém morzu,
O ziemi, wodząc wzrokiem po nieba przestworzu.

Ale cyt! słuchaj! czemuż pośród łez i łkania,
Mignęła błyskawica, wrzasnął krzyk konania!
Wokół cisza.—Któż mógłby podejść ich? niebaczny.
Skądże ta błyskawica, i krzyk ten rozpaczny?
Któż będzie wiedzieć o tém? Księżyca promienie,
Przysłaniały wędrownéj chmury grube cienie.
Noc zapadła; co święci się tam, nikt nie zbada,
A noc swoich tajemnic także nie wygada.

Któż zgadnie? nikt! nikt! — Grób jest jedyną ostoją,
W którym nic nie zasmuci już pociechę twoją.
W którym na całą wieczność krzyżują ramiona,
W którym już się nie ocknie dusza raz uśpiona.

1829.

Wierszyk *p. Emila Vallet* poświęcony swéj córeczce:

KOTECZKA.

Jest w naszym domu kociątko kochane,
Z którém się co dnia cackamy tak miło.
Włoski ma jasne, oczki zadumane,
Nikogo nigdy niczém nie zraziło.

Pociecha, rozkosz, widzieć tę pieszczotę,
W jéj uniesieniach radośnych, czy rzewnych!
Twarz jéj anielska, jak serce jéj złote,
Kocha swą matkę, ojca, wszystkich krewnych.

Ruchy jéj nakształt młodéj turkaweczki,
Wszystko zdobędzie słodziutką swą minką.
Jakiż wiek, imie, ślicznéj téj koteczki?
Kończy rok czwarty, zwie się *Marcellinką.*

12/24 *Września 1881.* *Bordeaux.*
Hôtel de France.
Ul. Esprit des Lois.

Następny cztérowiérsz możnaby na godło do wszystkich wielkich domów gry użyć.

Il y a trois portes dans cet antre:
L'Espoir, l'Infamie, la Mort.
C'est par la première qu'on entre,
C'est par les deux autres qu'on sort.

(Voltaire.)

W jaskini téj jest drzwi troje:
Nadzieja — Srom — Śmierć — w dodatku.
Wchodzisz przez piérwsze podwoje,
A tamtémi wyjdziesz, bratku.

Przed kilkoma dniami *Karol Hrabia Przezdziecki*, (C. de Noire-Isle), przysłał mi na pamiątkę ostatni tom VIII pism swoich, dopełniając nim siedm poprzednich. Przeczytawszy zamykający go *Epilog*, z wierszem: *Do Laury w Niebiosach*, uobecniła mi się tak silnie boleść ojca, opłakującego swą córkę, współucznia niegdyś mego z Krzemieńca, że wzruszon do głębi smutkiem jego, a może zarazem i własnémi wspomnieniami, przełożyłem go z tęsknem współczuciem.

EPILOG.

Zamykając tę księgę, powiem zkąd i jak powstała.

W 1874 roku, straciłem najdroższą mi córkę. Umarła w kwiecie młodości i wdzięków, w dwudziestym roku, wcielony Anioł domowy, nie dotknąwszy nawet świata, ni życia, nie znając miłości. W niezmiernéj méj boleści, szukałem jakiéjś ulgi w zbieraniu wszystkich pamiątek po uwielbioném dziecięciu. Znalazłem w biórku jéj zwitek niewielki papierów, gdzie naiwne natchnienia zapisała wierszem polskim, piérwsze wrażenia młodziutkiego serca, zlewając w harmonijną wiązankę, wzniosłość uczuć, przedwczesną dojrzałość rozwiniętego umysłu, z pociągającą urokiem powierzchownością, co stworzyło z niéj istotę skończoną, idealną, za doskonałą na ten padół płaczu. Czytając i odczytując te marzenia, zapragnąłem jednocześnie przełożyć je rymem francuskim, dla mych przyjaciół z Zachodu. Ja, com nigdy dwóch końcówek nie związał, nieprzepartym rwany pociągiem, zamierzyłem w obcym języku, ująć w tę samą modłę dźwięki lutni rozbitéj na wieki.

To spowodowało mię naprzód, do ogłoszenia, nie jako poeta, lecz wierszokleta, i wierny tłómacz, rzewne natchnienia Laury méj w Niebiosach. Później przebiegłszy poemacik *Słowackiego*, pod nazwą: *W Szwajcarji*, zdumiało mię powinowactwo z Aniołem mym odleciałym, wstępnych doń wiérszy jego, które przełożyłem na cześć jéj natychmiast:

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty,
I nie wiem, czemu ta dusza z popiołów,
Nie wylatuje za nią do Aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki,
Do téj zbawionéj, i do téj kochanki.

Uzuchwalony próbą tą, przetłómaczyłem cały poemat, znajdując w zajęciu tém, chłonącém wszystko, zapomnienie chwilowe mego żalu. Po Słowackim, nastąpił *Krasiński*, po nim wielki mistrz *Mickiewicz*, i ze słówka do słówka, z tomu do tomu, złożyła się galerja wielkich wieszczów polskich XIX w., któréj ogłaszam dziś ostatni tom ósmy, przeszło czterdzieści tysięcy wiérszy, płynących z nieopisanéj tęsknoty za ukochaną nieobecną, któréj po raz ostatni także już święcę pieśń następną:

Do Laury w Niebiosach.

Lauro najmilsza! córko ukochana!
Za najpiękniéjszy kwiat przez świat uznana,
I najpiękniéjsza, w istocie!

Lauro, Aniele mój skrzydlaty w niebie,
Po raz ostatni z grobu wzywam ciebie,
Ostatnią pieśnią mą do cię.

Rozjaśń mój umysł twym płowym promieniem,
Rozgrzéj me serce wystygłe zwątpieniem
Zbawienia; — przez krzyż, pacierze.
Gdy w niebie dojrzę twój obraz błyszczący,
Usłyszę głos twój tak słodko mi brzmiący,
Wielbiąc cię, znowu uwierzę.

Uciekłaś z ziemi do lepszego świata,
Z ziemi, gdzie nędza z rozpaczą się splata,
Gdzie nikt têm, czém mu być dano.
Gdzie ponad prawem, grzmot działa przoduje,
Gruchocąc wszystko, a bagnet morduje,
Nieszczęsną ludzkość krwią zlaną.

Gdy jéj wrogowie, pychą opętani,
Depcą świętości jéj, drwiąc jak Szatani,
Z uciemiężonych narodów;
Gdy kraj mój ginie, Europa pada
Pod ciosem złości, co się wciąż rozjada
Siewem ohydnych zarodów.

Wkrótce wyzwolon duch mój z swéj powłoki,
Wzlatując do was, atomy, w obłoki,
Utonie w nieskończoności.

I związan z wami węzłem zagrobowym,
Zleje się dźwiękiem w hymnie wszechświatowym,
Wibrując w całej wieczności.

Czekając na śmierć, obolały, stary,
Błagam, sam nie wiem o co, mojej mary,
Szukając próżno jej cienia.
Samotny, słodząc serca niepokoje,
Dzień i noc jedną zwrotką smutek koję,
Aniołku mój! Do widzenia!

Z ARVERSA.

Me życie ma swe tajnie, ma swą i ma dusza.
Miłość wieczną w pożerczy płomień rozgorzałą,
Którą milczkiem w zarodzie zdusić należało,
Bo ona mąk mych nie zna, ból mój ją nie wzrusza.

Nie! — nigdy wzrok jéj na mnie nie spoczął ła-
[skawszy.
Przykuty do jéj boku wciąż — jednak błędnemi
Krocząc szlaki — samotny wlokę się po ziemi,
Nie śmiąc o nic ją błagać, nic nie otrzymawszy.

A ona? — choć przyroda jéj wrażliwa, smętna,
Na szept miłości takiéj, głucha, obojętna,
Pójdzie swą drogą zimna jak głaz — i niedbale
Spojrzawszy na te rymy przesiąkłe boleścią,
Spyta — acz sama jedna jedyną ich treścią:
„Co to jest za kobieta?" — i nie pozna wcale.

Trzy te strofy są początkiem wiersza, pod nazwą: *Morituri te salutant Caesar!* które w V tomie, str. 349, *Przekładów mych i Rymów Własnych,* opuszczono. Należą one do Rymów Własnych.

Znasz moje walki; — jeśli nie — sumienie.
Chcesz, czy nie, po mym skonie ci je wskaże.
Jako gladjator na rzymskiej arenie,
Umierający, witam Cię, Cezarze!

Ale tych bojów inne były szranki,
W których poniosłem ci wszystko w ofierze.
Lecz przeceniłaś skromne me zachcianki.
Umierający, witam Cię, Cezarze!

Znasz i me smutki, które całe życie
Szły w nierozdzielnéj zawsze ze mną parze.
I osłodziłaś mi je należycie.
Umierający, witam Cię, Cezarze! itd.

SPIS PRZEDMIOTÓW.

Rymy Własne.

Przekłady.

Lord Byron.

Sir Walter-Scott.

ERRATA

DO T. VI.

Str.	*W.*	*Drukowano:*	*Czytaj:*
10,	3.	*strętwiana*	strętwiona
34,	10.	*Mumią*	Mumją
48,	13.	*wam*	wam —
49,	13.	*Ale mówiąc między nami*	Ale, mówiąc między nami,
49,	23.	*godowy,*	godowy
64,	2.	*takież*	tobież
66,	1.	*niewiadomością*	nieświadomością
69,	3.	*Anglii*	Anglji
79,	11.	*łódu*	łodzi
105,	23.	*nie*	nich
127,	10.	*łamami*	łomami
131,	17.	*Żeby*	Żaby
134,	14.	*czytelników*	czytelnikom
147,	3.	*ten*	lew
149,	7.	*A czem*	Aczem
156,	3.	*Za*	Że
186,	20.	*wyzna mi*	wyznam-ć
194,	10.	*Szkocyi, Galii.*	Szkocji, Galji.
196,	19.	*Szkocyi,*	Szkocji,
198,	19.	*Ale*	Ani
221,	13.	*medalionik*	medaljonik